

## CZEŚĆ I

Birka nie była zachwycająca o tej porze roku, ale dużo się tu działo. To był czas powrotów z rejsów, a tym samym czas wielkiej pracy, sortowania i rozkładania po magazynach przywiezionych towarów, jesiennych targów i imprez na cześć tych, którzy wrócili żywi z morza. W świątyniach na wybrzeżu trwały uroczystości dziękczynne, cieszyły oczy bogate wota, a biedota miejska z niecierpliwością czekała na hojnie rozdawane dary i jałmużny.

Podróżnik lubił jesień w Birce. Niejednokrotnie sam wracał na pokładzie któregoś z okrętów do tego wspaniałego portu, więc jego bezsprzecznie cuchnące uliczki i bezsprzecznie urocze place i promenady odbierał nieco jak synonim domu, bezpiecznego, ciepłego, zapewniającego na zimowe chłody miłą kąpiel w jakiejś oberży, pachnące przyprawami wino w tawernach i pyszne ryby z rusztu. Skąd w Samnicyzku zrodziła się miłość do nadmorskiej metropolii, tego on sam nie wiedział, ale wizja zimowego odpoczynku w Birce, po wszystkim co przeszedł w ostatnich miesiącach, wydawała mu się szczególnie kusząca i szczególnie zasłużona. Zwłaszcza buzujące ciepło kominka zdawało się cenne, po absolutnie niezwykłej i potwornie zimnej nocy, spędzonej na jakimś zadupiu w Terali, gdzie utknął w czymś w rodzaju magicznej pętli czasowej, przemarzył na kość i omal go nie okradziono.

Właśnie. Wspomnienie o paskudnych przygodach niemal u finału podróży przypomniało Podróżnikowi, że nim skorzysta z zasłużonego odpoczynku, trzeba zakończyć podróż, sfinalizować umowy, odebrać zapłatę i pozbyć się cennego brzemienia. Skierował swoje kroki do Emporium, pałacu położonego nad Kanałem Evria, będącego siedzibą Ligi Kupieckiej.

Virtu Morgunsona człowieka, z którym Podróżnik zawierał swoją umowę, akurat nie było. Skierowano go do kogoś innego, przedstawionego jako Solanis Coralides, z pochodzenia Ofirczyk, jak wskazywało nazwisko. Coralides był szerzej znany jako zwierzchnik południowego oddziału Ligi, Podróżnik dokładnie nie wyznawał się na detalach struktury tej organizacji. Ale wyznawał się na ludziach i spotkanie z Coralidesem było dla niego nie lada wyzwaniem. Był to bowiem człowiek o twarzy absolutnie nieprzeniknionej, chłodnych stalowych oczach i rysach, wskazujących na wielkie doświadczenie połączone z wielką mądrością. Podróżnik był świadom, że to, co przynosi, uczyni go bogatym. Nie tylko wypełnił powierzona mu misję, nie tylko przywoził całe tomy zapisanych cennymi informacjami notatek o krajach za-południa, ale przynosił także próbkę Minerale. Gdy wszedł do gabinetu Coralidesa, nagle zwątpił jednak w wartość wszystkiego, co kryła jego cenna sakwa. Zwątpił jeszcze bardziej kilka minut później.

Zdawkowa, kurtuazyjna wymiana zdań oczywiście nie miała tu znaczenia. "Jak upłynęła podróż", "interesująco, jak zwykle, dziękuję", "to wspaniale, pańskie podróże są dla nas niezwykle inspirujące bla bla bla"... A potem Coralides wziął do ręki sakwę. W sakwie Podróżnik nosił próbkę Minerale. Kupiec otworzył sakwę, nikły blask, jakim promieniował Minerale, oświetlił mu twarz, na której nie drgnął ani jeden mięsień. Po czym wypłacił Podróżnikowi stukrotność umówionej kwoty. W diamentach. Była to maksymalna wartość, jaką uwzględniono w umowie.

Podróżnik nagle zrozumiał, że nie ma pojęcia, co właściwie przywoził. Zmiana treści umowy na tym etapie była praktycznie niemożliwa, ale postanowił spróbować.

- Czy nie uważa pan, że przywiezione przeze mnie niezwykle cenne informacje i przedmioty są warte nieco więcej niż ustaliliśmy...? – stęknął rzutem na taśmę, dla czystej formalności, w pełni świadomy, że to nie ma najmniejszego sensu. Urzędnik podniósł wzrok i Podróżnik zamilkł, zmrożony chłodem stalowego spojrzenia bladoniebieskich oczu rozmówcy. Tymczasem pan Coralides

nie zmieniając ani na jotę wyrazu twarzy sięgnął do sakwy, skąd wyciągnął kolejne kilkanaście szlifowanych w rozetę diamentów. Rzucił je na szalkę wagi ruchem, który mógł być no najmniej niedbały. Podróżnik, siląc się na obojętność, rzucił okiem na szalkę. Diamenty o szlifie brylantowym miały średnicę co najmniej 5 mm, czyli przynajmniej 0.8 karata. Więc warte były przynajmniej 20-25 bezantów senatorskich. Każdy.

- Ma pan absolutną rację – oznajmił kupiec – Ustalone w umowie wynagrodzenie było stanowczo za niskie. Proszę potraktować tę sumę – mówiąc to, przesypał diamenty do dłoni Podróżnika – jako premię, bez zbędnych formalności i aneksów w umowie, mamy przecież taką prawną możliwość. Jesteśmy panu niezmiernie wdzięczni i bez wątpienia zwrócimy się jeszcze po pańskie usługi. Tymczasem życzę panu owocnego i bez wątpienia zasłużonego odpoczynku. Aha! – dodał w momencie, gdy Podróżnik drżącą dłonią naciskał złoconą klamkę drzwi gabinetu – Pozwolę sobie tylko przypomnieć, że jedną z najważniejszych klauzul w umowie jest absolutne zobowiązanie do zachowania dyskrecji.

- Oczywiście – rzucił Podróżnik nieco nieprzytomnie – Pamiętam, rzecz jasna. Dziękuję. Do widzenia. Dziękuję. Pamiętam oczywiście, do widzenia...

No i właśnie. Ciekawostką i swoistym smaczkiem w środowisku był fakt, że wycenione najwyższym stopniem tajności na najwięcej warte informacje bywały średnio drogie do nabycia na wtórnym rynku. Pod warunkiem, że wiedziałeś, o co pytać.

Symeon wiedział. Albo przynajmniej podejrzewał. Dlaczego właściwie w zimny, ale słoneczny jesienny poranek na jakimś teralskim zadupiu zafrapowały go na tyle informacje, zawarte w śmiesznym pamiętniczku jakiegoś Samnijczyka – Symeon nie do końca sam przed sobą był w stanie to wyjaśnić. Coś nie dawało mu spokoju, bynajmniej nie treść śmiesznych zapisków, ale to, co dostrzegł w umyśle, gdzieś na granicy świadomości Podróżnika. Coś, co kazało mu dla świętego spokoju wydać kilka ostatnich bezantów na tę informację.

Rolf, pisarczyk w biurze Emporium, był jednym z droższych źródeł informacji, jakie znał Symeon. Informacje, które sprzedawał Rolf, potwierdzały się w jakichś 80% i dotyczyły najczęściej samej wierchuszki, czyli Rady Zarządców Ligi Kupieckiej. Tym razem jednak Symeon się zdziwił.

- Stówę! Ani miedziaka mniej – sapnął pisarczyk, rozglądając się dookoła trwożliwie, zupełnie jakby był w stanie przeniknąć mrok, otulający doki poza granicą światła jego brudnej latarenki – Z góry!

- Birów...?- upewnił się Symeon

- Co się głupio pytasz! Dawaj! Ale mówię ci, to jest warte więcej, magiku!

- Mów – mruknął z ledwie słyszalną ulgą mag, wpychając w dłoń rozmówcy dobrze wypchany mieszek – Co jest niby tyle warte?

- Ten Samnijczyk, którego kazałeś śledzić. Wczoraj zdawał sprawę samemu Coralidesowi.

- Kto to jest?

- Zarządca Izby Południowej. Coralides dostał coś od niego, ale tego ci nie powiem, bo zostało tak opatrzone pieczęciami, że nie da się nawet w poblizze dostać. Ale słuchaj. Samnijczyk tego czegoś

nie przyniósł sam, tylko przysłał już miesiąc temu. To było w skrytce bankowej w oddziale banku keshamskiego Murho Khamirgha, mam tam wtyki, to sprawdziłem. Od miesiąca w pracowniach robili na jakąś wielką skalę badania, też w wielkiej tajemnicy, dość mnie to frapowało, bo co chwila przychodziły jakieś dziwne raporty. Teraz dopiero załapałem, o co chodzi. To jakaś substancja, której nikt nie rozumie, nie wiadomo skąd Samnijczyk ją przywiózł. Podobno daje jakieś potworne możliwości. Wczoraj Samnijczyk sfinalizował transakcję, ten, kto ją księgował, nie chciał powiedzieć ile, ale podobno więcej niż roczny kontrakt na wynajem barek na Sankarze. Czyli ponad dwieście senatusów! – wysapał przejęty pisarczyk. Symeon konsekwentnie udawał obojętnego.

- Wielkie halo, może to jakiś nowy rodzaj używki albo egzotyczny perfum.

- Głupis! – krzyknął pisarczyk i natychmiast przycichł, rozglądając się wokół wystraszony własną nieostrożnością – Głupis – powtórzył ciszej – dzisiaj rano z Emporium wysłano dwa listy według protokołu czarnego...

- Czego?

- Oj, jak ty nic nie wiesz. Protokołu czarnego, czyli klauzula absolutnej najwyższej tajności oraz najwyższy poziom ochrony dla kuriera. Listy poszły, zgadnij gdzie.

- Nie mam pojęcia.

- Jeden do sztabu Wergundii, do magnifer Kingerdy księżnej dar Terre. A drugi – Rolf przybrał ton konspiracyjny – do samego arcyksięcia Nowej Styrii, Sefresa...!!

Symeon uniósł brwi.

- Co niby z tego wynika...?

- Jak to co? To, co przywiózł Samnijczyk, będzie miało wpływ na wynik wojny, która bez wątpienia wybuchnie lada chwila, więc Liga zechce sprzedać to temu, kto da więcej!

Psionik wziął głęboki wdech, kontrolując własny wyraz twarzy.

- Rozumiem. Cóż, zobaczymy zatem. Mam nadzieję, że to było dobrze wydane sto birów. Jeśli to naprawdę coś dużego, to uważaj na siebie, Rolf – Symeon uśmiechnął się, widząc rozszerzone strachem oczy pisarczyka – No wiesz, w dokach o tej porze nie jest bezpiecznie.

Odczekał, aż ucichnie odgłos sabotów na granitowym bruku nadbrzeża. Usiadł na murku, oparł się wygodnie o ścianę i zapalił fajkę z ziołem o aromacie wanilii.

- I co myślisz?

Erindiar zsunął się cicho z mocowania sporego ramienia żurawia, na którym siedział, przez chwilę zawisnął na rękach tuż nad ziemią i płynnie zeskoczył. Usiadł obok przyjaciela i otrząpał dłonie.

- Myślę, że to najlepiej wydane szesnaście bezantów w twoim życiu – powiedział – To naprawdę może być coś dużego. Wszystko się zgadza. Liga ma już umówione przynajmniej cztery rejsy na za-południe, wynajętych kapitanów i okręty, wszystkie na wiosnę. Wszystkie za ogromne stawki, bo nikt nie chce tam pływać, zwłaszcza teraz, kiedy lada chwila wybuchnie wojna.

- To dobrze. To by wskazywało, że mamy szansę być pierwsi. Pytanie, czy zbieramy tyle, żeby zapłacić za okręt. Ilu się zgłosiło?

- Prawie wszyscy – uśmiechnął się Eri – Towarzystwo. Konfraternia. Smocza. Sapientia. Węże. Oczywiście Imperium. I jeszcze kilka. Wszyscy są gotowi zapłacić. Kesham co prawda odmówił, ale nic nie szkodzi. Nasza załoga na tą chwilę liczy kilkunastu ludzi, ale to twardziele. Gotowi na wszystko. W każdym razie w zamian za tyle, ile im obiecałem.

- Czyli?

- Nawet nie pytaj. Ale to się i tak opłaci, mówię ci.

- Kiedy będą gotowi wypłynąć?

- Jak najszybciej, będą gotowi do dwóch tygodni. Módl się tylko, żeby lód nie skuł wybrzeży. Możesz nawet złożyć ofiarę w świątyni Tulvy. Dużą. Opłaci ci się.

Północne skrzydło zamku w Corv nie było lubiane przez ludzi dworu. Było mroczne, w przeciwieństwie do wyeksponowanych na południe sal i komnat nie posiadało obszernych okien ani urokliwych kolumnad i podcieni, wychodzących na ukochane przez księżną Ermerngardę ogrody. W północnym skrzydle mieściła się pałacowa kaplica Modwita, a także sale rycerskie i kilka reprezentacyjnych, ale nieprzyjemnych sal mieszkalnych.

Artvr także nie lubił tej części pałacu. To dziwne jednak, pomyślał, że wpadło mu to do głowy właśnie teraz, gdy za chwilę miała się sfinalizować wielka praca ostatnich miesięcy, tuż przed momentem wielkim, historycznym bez wątpienia, przed epizodem, do którego zapisania na kartach dziejów świata on sam przyłoży rękę. Może to dlatego, odpowiedział sobie w myślach, że po tej zimie, brzydkiej, pochmurnej i mrocznej, tęsknił za słońcem i przestrzenią, a te korytarze prowadziły przecież w podziemia kaplicy, gdzie miało się dokonać ich wielkie dzieło.

W ślad za idącym pewnym krokiem Artvrem podążało ośmiu młodszych paladynów, podobnie jak on odzianych w żelazo, z emblematami bóstwa wymalowanymi na czołach. Każdy trzymał w dłoniach medalion wotywny. Podzwaniając naramiennikami i kolczugami przemaszerowali korytarzem, schodząc do wieży, a potem schodami w dół, poniżej najniższej kondygnacji aż do wąskich drzwi okutych metalowymi sztabami. Rycerz odblokował zamek i po chwili wkroczyli w wilgotny i pachnący pleśnią świat podziemi.

W komnacie było już wszystko przygotowane. Rozrysowane precyzyjnie kręgi, tajemne znaki, których znaczenie w pełni ogarniał tylko Godryk, płonące w wybranych miejscach wielkie świece. Na środku kręgu znajdowało się coś, co można było nazwać łóżem, siennik przykryty białym ałtąsem, na którym leżały haftowane złotą nicią poduszki. Dokładnie nad nim, rozpięty na mocno naciągniętych sznurach, znajdował się krąg z białego metalu, w który wmontowano wielki, połyskujący lekko błękitem, kryształ o idealnej niemal przejrzystości. Powyżej tej instalacji na ścianach i stropie widoczne były stalowe konstrukcje o trudnym do określenia zastosowaniu, zawierające błyskające w świetle świec lustrzane tafle, a także stalowe liny i sporej wielkości kołowrót.

- Witaj, bracie – najwyższy kapłan-wojownik Modwita powitał młodszego kolegę uśmiechem, w którym widać było skupienie i coś jakby strach – I wy, bracia – Godryk skinął także pozostałym przybyłym – Zajmijcie wyznaczone miejsca i zacznijcie medytację. Gdy przyjdzie czas, dam wam

sygnał. Panowie! – rycerze w milczeniu zatrzymali się w pół kroku – Wasza obecność tutaj dzisiaj to zaszczyt dla mnie i dla całej Wergundii.

W poważnej atmosferze młodzi wojownicy zajęli przygotowane dla nich wcześniej miejsca. Znali na pamięć cały przebieg rytuału, ćwiczyli go od miesięcy, najpierw medytację, potem założenie ochronnych kręgów, blokujących dostęp do centrum komnaty. Potem wszystko będzie możliwe – walka z pojawiającymi się demonami, utrzymywanie naporu energii, fal żywiołów, wreszcie bóstwa we własnej osobie. Jednak najważniejsza była medytacja, bez niej nie mieli szans zmusić umysłów do operowania przepływającą przez nich energią boga wojowników. Po chwili w kazamacie zapadła cisza.

Prawdopodobnie upłynęły godziny, nim zaczęli się pojawiać kolejni. Magowie. Uzdrowiciele. Alchemicy. Godryk próbował przewidzieć wszelkie możliwości rozwoju sytuacji, zabezpieczyć rytuał pod każdym względem, przed każdym potencjalnym zagrożeniem, choć zdawał sobie sprawę, że nie ma najmniejszych szans, bowiem większości możliwych zagrożeń nie był w stanie nawet objąć wyobraźnią. Nie spodziewał się przeżyć, jednak nie chciał też umierać ze świadomością, że nie zrobił wszystkiego, co możliwe.

Jak zresztą mógłby spojrzeć w oczy jemu, pomyślał Godryk na dźwięk otwieranej w głębi korytarza zasuw. Podkute buty gwardzistów zaanonsowały wejście władcy. Olaf wyglądał na bardzo zmęczonego. Nie miał książęcego diademu, nie nosił też ulubionego tryntyjskiego kiltu. Siwe włosy, które w ostatnim czasie nosił do ramion, związał na karku, szpiczastą brodę przyozdobił srebrną zapinką na krasnoludzką modłę. Poza tym miał na sobie wyłącznie czarne cotte, koszulę i wąskie spodnie, a na to narzucony ciemnozielony płaszcz z grubej tryntyjskiej wełny.

- Mój panie – Godryk przyklęknął zgodnie z etykietą, a za nim wszyscy obecni, jednak Olaf skinieniem ręki dał znak, że nie obowiązuje dworski protokół.

- Księżna i dzieci? – odezwał się głosem, po którym znać było nieprzespaną noc, niejedną być może.

- Bezpieczne – odpowiedział paladyn – Pani dotarła wczoraj wieczorem do rezydencji w Białej Dolinie, wraz z księżniczką Vittą i księciem Liderykiem. Jego Wysokość następca tronu książę Arnulf wciąż przebywa w świątyni w Morburgu. Wszyscy są bezpieczni i pod ochroną ludzi moich i gwardii.

- Dobrze – powiedział książę Olaf, rozpinając broszę płaszcza. Godryk nie dostrzegł drżenia dłoni, ani innych objawów strachu. Dostrzegał tylko zmęczenie – List oraz szkatułka, o której rozmawialiśmy, znajduje się przy moim łóżku. Oczekuję, że wszyscy moi bliscy otrzymają je tak, jak prosiłem – głos władcy z lekka zadrżał, a może to ucho paladyna, rozpoznające znakomicie odcienie głosu księcia, wyłapało tę różnicę dźwięku. Wojownik podniósł wzrok na zmęczoną książęcą twarz i dostrzegł ogromny, niemożliwy najwyraźniej do stłumienia, smutek - Armia stoi w pełnej gotowości, przemywania na Sankarze gotowe, dowódcy uprzedzeni, sztab gotów, procedura regencji wdrożona. O czym zapomnieliśmy, Godryku?

- O niczym, panie – paladyn wziął głęboki wdech – Wszystko gotowe.

- Dobrze więc. Wydaj rozkazy.

Wojownik Modwita odpiął z rękawa szpilę ze znakiem i podał stojącemu najbliżej adiutantowi. Ten bez słowa, wiedząc doskonale co ma robić, wyszedł, by po chwili przekazać

wszystkim ludziom Godryka rozkaz rozpoczęcia operacji. W przeciągu najbliższych kilku minut zamknięto całkowicie obszar zamku w Corv, służba została wyprowadzona poza teren, w zamku nie została ani jedna osoba, która nie należałaby do wtajemniczonych. Zamknięto wszystkie korytarze, prowadzące w podziemia, w kaplicy rozpoczęto obrzęd ofiarny, w podziemiach natomiast rozpoczęto to, do czego książę Olaf i kapłan wojownik Godryk szykowali się od wielu lat, a co umożliwiło sprowadzenie głównego narzędzia – kryształu zwanego Aramediconem.

Okrągłe pomieszczenie zostało zatrzaśnięte, olbrzymie stalowe sztaby założono na podwójne okute wrota, które dodatkowo zamknięto podniesioną grodzią. Jednocześnie dwóch ludzi mocno szarpnęło uchwyty kołowrotu, mechanizm stęknął i drgnął, a drgnięcie owo dało się odczuć pod stopami stojących. Strop kazamaty zazgrzytał, na głowy obecnych posypała się niewielka ilość pyłu i zaprawy, gdy wielkie panele konstrukcji rozsunęły się na boki, otwierając widok na kopułę, podniesioną na arkadowych łukach, której centralna część była pusta. Promienie słoneczne nakierowane przez otwory w kopule na tafle luster, rozświetliły centralny kryształ. Kapłani uderzyli w powierzchnie potężnych brązowych gongów, których dźwięk zawibrował rezonansem wewnątrz kazamaty. Ten zestaw niezrozumiałych dla laika czynności oznaczał początek etapu gromadzenia energii.

Książę Olaf ciężko usiadł na krawędzi łoża. Godryk wręczył mu cynowy puchar, zawierający napar z belladonny wzbogacony kilkoma innymi składnikami.

- Powiedz jej, proszę – odezwał się cicho władca niskim, pewnym głosem – Powiedz Ermi, że była światłem mojego życia. Gdyby nie ona, nigdy nie znalazłbym w sobie dość odwagi.

Paladyn przykląkł w czystym odruchu serca i przykładając czoło do dłoni swojego suwerena, oddał hołd jego ofierze. Książę wychylił zawartość kielicha i położył się na łożu, odsuwając złożone poduszki. Nie minęło kilka sekund, gdy opadnięcie dłoni zasygnalizowało całkowite rozluźnienie mięśni i zapadnięcie w śmiertelny letarg.

Rozpoczęto rytuał, mający uwięzić i osłabić Tavar.

Na piaszczystych brzegach rzeki Vran, południowego dopływu Sankary, od wielu dni płonęły ognie. Nie było sensu trzymać w tajemnicy tak dużego zgrupowania wojsk, nawet na samej granicy. W okolicy Rittenharm, gdzie usadowił się sztab, obozował cały nowo utworzony błękitny tymen, do tego ściągnięty niemal w całości z północy czarny. Nie było to najszcześniejsze połączenie, bowiem weterani elitarnych kohort, chlubiących się chorągwiami spod Arden i tradycjami czasów Elmeryka Wielkiego, patrzyli z góry z jawną pogardą na kondotierów i najemników z błękitnego, nie mówiąc już o kilku kohortach ze świeżego ochotniczego zaciągu. Czterdzieści mil w górę rzeki zgrupowano większość drugiego tymenu, manipuły zabezpieczające wschodnią linię graniczną, wspierane przez główne uderzeniowe kohorty burego. Z kolei kilka godzin marszu na zachód od Rittenharm, w pobliżu wioski rybackiej Salskie Sioła stacjonowały kohorty tymenu czerwonego, przemieszczone z rejonów stolicy.

We wszystkich kohortach głównym zajęciem ostatnich tygodni był bezustanny trening – wodowanie tratw, przeciąganie lin, przeprowianie promów, desant na drugi brzeg, zdobywanie przyczółków, zabezpieczanie przeprawy. Po czym osłona przed rzadkim i raczej symbolicznym ostrzałem ze stanowisk styryjskich i odwrót z powrotem za rzekę. I tak w kółko. Każdorazowe przeprowadzenie próbnego desantu stawiało na nogi całą załogę styryjskich stanic nad Sankarą, co, jak

podejrzewali niektórzy żołnierze, było głównym celem całej tej zabawy. Wieczorami główną rozrywką były śpiewy przy wartowniczych ogniskach, bo pomimo przeciągającego się oczekiwania, które skutecznie rozpraszało napięcie, dowództwo skutecznie pilnowało, by rozprężenie nie osiągało rozmiarów niebezpiecznych dla skuteczności.

Owego wieczora atmosfera nie odbiegała bynajmniej od wieczorów poprzednich. Przy ogniskach wzdłuż Sankary debatowano o kobietach, przewagach bitewnych, polityce, wartownicy przechadzali się przy ułożonych szeregami tratwach, przeklinając bezsensowne pozornie czynności, jak sprawdzanie szuwarów i kolejne tego wieczora klarowanie lin, w namiotach kwatermistrzostwa rozdawano ciepłą zupę z soczewicy, choć większość towarzystwa ze smakiem żywiła się sprzedawanymi za grosze przez miejscowych rybaków płociami i leszczami.

Zaczęło się od namiotu Wysokiego Sztabu. Mało kto zauważył jeźdźca w szarym uniformie, który pół godziny temu zostawił przed koniowiazem spienionego wierzchowca. Służba stajenna zajęła się koniem, nakryła derkami, rozcierając mięśnie, i zauważyła rozbiegających się po obozie adiutantów, wracających z wysokimi oficerami sztabu, sędziwym księciem Durzo dar Mawarot, diukiem Magnusem z Hofbergu, dowódcą czarnego tymenu Reinwaldem księciem Boucort, uchodzącym za najlepszego taktyka armii, magniferem Martym dar Lara oraz księżną Kingerdą dar Terre, głównodowodzącą Radą Wysokiego Sztabu. Plotki rozeszły się szybko, ale niewiele wyprzedziły idącą ich śladem wieść. Najpierw zadęto w rogi. Oficerowie zbierali oddziały do odprawy, choć nie wydano rozkazów bojowych, więc przez chwilę panował chaos. Zanim do oddziałów nie dotarła wiadomość, ogłoszona oficjalnie przez księżną dar Terre.

Jego wysokość książę Olaf, syn Elmeryka z rodu Danwiga został dziś popołudniu zamordowany przez styryjskiego zamachowca.

Władzę w kraju obejmuje księżna Ermerngarda jako regentka w imieniu małoletniego księcia Arnulfa, który jako mężczyzna, który nie przeszedł jeszcze Prób, nie może przejąć rządów.

Żałobną uroczystość pożegnania naszego wielkiego władcy odprawimy w Aenthil. Uderzamy za godzinę, a zabójcom wstyd na wieki.

Słumiony krzyk odbił się echem od mokrych, kamiennych ścian korytarza. Zanim dotarł do niepowołanych uszu, dłonie czujnych współtowarzyszy uciszyły kolejne rozdzierające krzyki bólu. Izbor zgrzytnął tylko zębami z bezsilnej złości. Obydwoj ulundo, towarzyszący jego oddziałowi, byli absolutnie niezbędni do realizacji tej misji, a jednocześnie sam cel czynił ich przynajmniej niebezpiecznymi dla jej powodzenia.

Aine bezceremonialnie posadziła Tahata na ziemi, wprawnym naciśnięciem palców zmusiła do rozwarcia szczęk, między które wetknęła patyk i zacisnęła. Oczy kapłana uciekły w tył głowy, zęby zacisnęły się na drewnie. Zaraz obok Prim z wydatną pomocą Batiarusa unieruchomiła analogicznie Kheza, zatykając mu usta szmatą. Odczekali zwykły czas spazmu i puścili, Aine roztarła dłonie i potrząsnęła głową jak ktoś szykujący się do poważnego wyzwania. Przyklekła przy panu-drzew, którego atak bólu niemal pozbawił przytomności, i mocno ścisnęła otwartymi dłońmi jego skronie. Skinęła głową do druidki, która zrobiła to samo z wyprężonym przez skurez Khezem. Recytację zaczęły równocześnie, choć każda mówiła w innym języku, działanie zaklęcia było podobne, przywracały siły witalne, uspokajały szalejący układ nerwowy, uspokajały krążenie krwi. Gdyby nie robiły tego po każdym ataku, ulundo nie dotarliby nawet do pierwszej furty podziemi To zresztą był

główny powód, dla którego obie zdecydowały się na tę misję. Bez ulundo nie mogłyby się ona powieźć, bez uzdrowicielek – ulundo nie dożyłoby jej końca.

- Psiakrew – mruknęła pod nosem Aine – Jeśli uderzą jeszcze ze dwa razy, nie będę miała czym go leczyć. Mana została mi już tylko moja własna.

- A pobrać nijak, w tych kamieniach nie ma ani grama życia.. – dokończyła jej myśl Primula – Ale nie upadajmy na duchu. Już niedaleko. Chyba...

- Nie mamy czasu – jęknął khôr'gona, gdy mięśnie rozluźniły mu się na tyle, by mógł coś wyartykułować – Z każdą chwilą jest coraz gorzej.

- Nie powiem, elegancko was załatwili – skomentował Izbor oczywistą oczywistość – Dość tego, możecie już przestać się nad sobą rozczulać. Jeśli nie dotrzemy do centrum rytuału, kapłani Olafa wykończą waszą boginię, a jeśli nie ją, to was z całą pewnością.

- Ja rozumiem, że twoją rolą jest odgrywać zimnego sukinsyna od specjalnych poruczeń – warknęła styryjska medyczka pomagając wstać ciągle półprzytomnemu Tahatowi – ale spróbuj przyswoić w końcu tę prostą prawdę, że oni nie są ludźmi, a ich połączenie z Tavar jest tak bezpośrednie, jakbym ciebie podłączyła przykładowo do gromochwyty wieży w Karantanii, na co nie żebym nie miała ochoty. Odczuwają każde uderzenie, jak przysłowiową szyszkę...

Izbor nie dowiedział się jednak, jak odczuwa się przysłowiowe szyszki, bo nagły zgrzyt stali u wylotu korytarza zmusił ich do natychmiastowego przyłgnięcia w czujnym milczeniu do ścian. Przeczekali przejście patrolu, trwożnie obserwując obydwu ulundo, gotowi w każdej chwili zareagować na atak bólu i stłumić krzyk. Ale atak nie nastąpił. Khez opierając czoło o zimne kamienne ściany, regenerował siły, Tahat siedział z twarzą w dłoniach i wydawał się medytować. Tymczasem odgłos cichej rozmowy idących nie milknął. Dwóch strażników wciąż stało u końca korytarza, gdzie powinna znajdować się niewielka furta. Najwyraźniej kazano im jej pilnować. Izbor ledwie słyszalnie zgrzytnął zębami. Dał znak ręką i dwóch ludzi Imperium zgodnie z doskonale wyćwiczonym schematem bezszelestnie ruszyło ku końcu korytarza. Na drugi znak dowódcy Primula ledwie słyszalnym szeptem powołała do istnienia niewielkie światełko, puściła je w ślad za wojownikami, po czym krótko aktywowała. Zakryli oczy. Nastąpił oślepiający błysk, dały się słyszeć krótkie okrzyki zdziwienia, potem nie dający się z niczym pomylić odgłos padającego na ziemię ciała.

U wylotu korytarza zamigotało światło małej latarenki. Enginno, jeden z imperialnych skrytobójców, machnął ręką do swoich na znak, że jest już bezpiecznie i wytarł w krawędź rękawa zakrwawiony sztylet. Dwóch strażników, sądząc po emblematach na kaftanach – paladynów Modwita, leżało pod ścianą z widocznymi ranami kłutymi.

- Ruszajmy – powiedział Izbor, sprawdzwszy korytarz – Ekipa Batiarusa powinna być już w pobliżu. Którędy?

Khez wyszedł do większego korytarza, którym przed chwilą maszerował patrol.

- Potrzebuję czasu. Nie widzę.

Izbor zmełł w ustach przekleństwo, Prim wzruszyła ramionami i zajęła się porządkowaniem sakwy, pozostali skorzystali z chwili, by odpocząć.



Aine wzruszyła ramionami i podeszła do zabitych strażników. Może to było migoczące światło świecy w latarence, ale zdawało się jej, że jeden drgnął. Uklękła przy nim. Miał może z dziewiętnaście lat, długie blond włosy wysunęły się spod koczowego kaptura, chłopak przyciskał rękę do krwawiącej rany na szyi, z której strumyki krwi sączyły się między jego palcami, i widocznie poruszał ustami. Medyczka pomyślała, że chce jej coś powiedzieć, ale nie, to była modlitwa. Pokręciła głową, westchnęła. Opatrunek byłby bezużyteczny, sztylet rozorał tętnicę. Westchnęła jeszcze raz. Zaklęła i roztarła dłonie. Zakręciło jej się w głowie i poczuła w ustach charakterystyczny żelazisty smak, otrząsnęła się. Młody kapłan patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma z mieszaniną szoku, przerażenia i wdzięczności.

- Nie możesz mi tu oprzytomnieć – mruknęła – bo narobisz szkód – delikatnie przesunęła ręką po niemal widocznie zasklepiającej się ranie, potem po czole młodzieńca i wyrecytowała drugie krótsze zaklęcie. Paladyn zamknął oczy.

- Co to robisz? – ton Izbora, który odezwał się za jej plecami, wskazywał, że zabójca znalazł wreszcie obiekt, na którym może wyładować irytację za wszystkie problemy w misji – Co ty zrobiłaś?

- Oj nie dramatyzuj – sarknęła, wstając, lekko rzuciła ją na ścianę, ale utrzymała się na nogach – Nie zostawię wykrwawiającego się człowieka.

- Więc resztkę many zużyłaś na leczenie wroga, który zaraz się obudzi i zwoła swoich.

- Masz mnie za idiotkę? Ten chłopak będzie spał przez najbliższą dobę, ma założoną szybszą regenerację, ale organizm będzie nieprzytomny. Wiesz, jak sztuczna śpiączka... Nie, nie wiesz. Bo niby skąd miałbyś. Masz zasadniczo przeciwny profil.

- Bo nie zostawiam wrogów za plecami? – warknął Izbor – Za to mnie potępiasz? A gdyby ten blondasek, uleczony przez ciebie, wstał i wbił nóż w plecy komuś z twoich przyjaciół? Gdyby wezwał pomoc i wymordował twój oddział? Z czyjej byłoby to winy? Widziałem takie przypadki, wierz mi. Potem nie zostaje nic jak tylko rzucić się na wroga i bohatercko idiotycznie umrzeć I przegrać wszystko, swoją misję, swoich bliskich, wszystko w co wierzysz. Ledwie się trzymasz na nogach, a może ktoś z nas będzie potrzebował pomocy.

- Nie pomogłam kiedyś któremuś, się pytam? – Aine odzyskała siły i poczuła właśnie, jak bardzo wkurza ją ten człowiek – Zawiodłam kiedyś? Spowodowałam kiedyś problemy? To o co ci chodzi, jasna cholera? Idź, zabij paru wrogów, to ci się zrobi lepiej! – medyczka odwróciła się na pięcie, ale po chwili zatrzymała się i dokończyła – Będzie zaiste ironią losu, jeśli umierając poprosisz o pomoc, ale coś czuję, że ja będę wtedy bardzo zajęta.

- Dajcie spokój – wtrąciła się Prim, widząc minę Izbora, szykującego się do ciętej riposty – Jak dzieci, po prostu jak dzieci. Mamy robotę, wieźcie się w garść.

- Wiem którędy – odezwał się Khez. Khôr'gona znalazł drogę, jak sam powiedział, „patrzac w skałę”, w której wnętrzu widział nienaturalnie wykonane przestrzenie, czyli korytarze. Obaj z Tahatem idealnie odczuwali także kierunek marszu, cel, owo miejsce, gdzie rytuał uwięził Panią i raził ją kolejnymi porcjami destrukcyjnej energii. Pobiegli korytarzami na tyle, na ile pozwalała ich wysokość, czasem czołgając się w wąskich gardzielach, kilkakrotnie schodząc w kominach za pomocą liny. Ulundo wyczuwali swoich pobratymców znajdujących się w oddziałach Batiarusa i Celahira, wiedzieli więc, że są oni już od jakiegoś czasu na miejscu i każda chwila oczekiwania w bezczynności naraża ich na dekonspirację i pojmanie. Spieszyli się więc, ale musieli przejść podziemiami zamku Corv przez długie systemy lochów, potem ciągiem wentylacyjnym idącym do kazamat pod kaplicą

Modwita w północnym skrzydle i wreszcie z pomocą szybu towarowego dla służby i przechodząc odcinek wspinaczki po murze, dostali się do ukrytej na wewnętrznym zamkniętym dziedzińcu kopuły. Wiedzieli, że oprócz dwóch bezpośrednich korytarzy wentylacyjnych była to w tej chwili jedyna droga wiodąca do tajemnej kazamaty, w której prowadzono rytuał.

Dziedziniec z kopułą był w dużej części zrujnowany, elewacje wyglądały jak pocięte jakimś gigantycznym biczem. Na ziemi leżały przemy gruzy, osypane ze ścian i kopuły, z której dramatycznie sterczały w niebo stalowe pręty zbrojenia. Większość konstrukcji była jednak stalowa, więc zniszczenie kopuły nie owocowało zniszczeniem systemu operowania światłem słonecznym. Z centrum kopuły bił w niebo słabo widoczny w świetle dnia słup światła, w którym widoczne były wyładowania takie jak w czasie burzy. Powietrze trzeszczało i buczało, infradźwięki powodowały wściekły ból głowy.

Dwa pozostałe komanda spotkali planowo w punkcie zbórnym. Poważne twarze, zmarszczone brwi, oszczędne słowa. Ludzie Imperium, którym, z całą pewnością wszystkim, dźwięczały w uszach słowa składanych onegdaj przysięg, coś tam o poświęceniu dla celu, o wyrzeczeniu się sumienia, uczciwości i ludzkich sentymentów, by ludzkość ostatecznie uwolnić. I ludzie bogini, którym dźwięczały w uszach rozdzierające krzyki, do złudzenia przypominające – każdemu niezależnie – krzyk bólu ich najbliższej osoby. Izbor, patrząc po twarzach swoich desantowców, pomyślał, że gdyby chciał tak egzotyczny sojusz opisać w opowieści, to słuchacze z pewnością uznaliby go za zbyt nieprawdopodobny i absolutnie niewykonalny i opowieść by wygwizdali. Specjaliści od niewykonalnego, uśmiechnął się sam do siebie.

- Batiarus poprowadzi pierwszy oddział przez zachodnią wentylację. Celahir – drugi. Ja i Tahat poprowadzimy tych, którzy są w stanie zjechać na linach spod kopuły. Niektórych ponoć szkolili najemnicy z Trójramiennych, więc pewnie macie wprawę. Będą nam potrzebne osłony, bo tam szaleją żywioły. Boczne oddziały zgodnie z planem muszą najpierw zneutralizować zewnętrzną warstwę rytuału. Przypominam, że cała konstrukcja kierunkowania energii ma przestrzenny kształt klepsydry, do której dolnej części musimy się dostać. Jeśli nas nie wpuszczacie, to zjeżdżając z góry zginiemy na pierwszej warstwie. Kiedy już wylądujemy na dole, skupiamy się, zgodnie z planem, na eliminacji kapłanów, utrzymujących kręgi oraz na rozsadzaniu kręgów energią, to się tyczy kapłanów. Zostaje także oddział zabezpieczenia, pod dowództwem Prim.

- Nie, poczekaj – druidka zaprotestowała – Nie mam doświadczenia jako dowódca, jeśli mamy osłaniać odwrót, to potrzebuję wojowników.

- Dobra. Celahir zamiast na drugi oddział, to do zabezpieczenia, zamiast niego Aine. Z fartem, przyjaciele. Musi się udać!

Niespełna godzinę później gdyby ktoś znajdował się na wewnętrznym dziedzińcu, bez wątplenia uciekałby stamtąd w panice, wypłoszony szaleństwem żywiołów i energii, jakie rozpętało się nad rozsadzoną kopułą. Żeby zrozumieć, co się stało, musiałby jednak widzieć wydarzenia w tajemnej kazamacie po tym, jak Aine i Batiarus oraz towarzyszący im magowie rozsadzili zewnętrzną osłonę rytuału, przez której trzaskające w rozbłyskach włókna przebili się wojownicy Izbora i Tahata.

„Idzie jak po maśle” – pomyślał z niepokojem Izbor i wtedy właśnie przestało.

Bez słów, synchronicznie niemal zaatakowali czterech paladynów, siedzących w medytacyjnej postawie w osobnych kręgach. Nieprzyjemny zgrzyt poinformował, że wokół tychże rozpostarte są osobne kręgi. Szczęknął mechanizm kazamaty. Dwie grodzie po bokach uniosły się na tyle, by

wpuścić do środka dwie dziesiątki wojowników dokładnie w momencie, gdy oddziały Aine i Batiarusa zeskoczyły na dół, wydostawszy się z kanałów wentylacyjnych. Krótkie starcie przyniosło kilka ofiar wśród wergundzkiej ochrony, jednak skutecznie zablokowano atakujących, nie dopuszczając do kręgu, w którego centrum, w migoczących rozbłyskach energii widniał biały podest, a na nim odziana w czarne szaty postać księcia Olafa. U stóp podestu wyraźnie wydzielony kręgiem ogniowym znajdował się symbol boga Modwita, a na nim klęcząca postać w ciemnym płaszczu.

- Izbor! – wrzasnęła Aine, próbując uderzeniem energii powalić uzbrojonego w tarczę przeciwnika – Musicie uderzyć na centrum!

- Kręgi nie są koncentryczne! – krzyknął Leclerc, którego osłaniała. Genialny mag od dłuższej chwili, chroniąc głowę przed ciosami, rozpracowywał konstrukcję magiczną, rozpiętą w pomieszczeniu – To wersja stożkowo-bastionowa, jak w Treborgu! Potrzebujesz przejść przez ...

Nie dokończył. Krótki stalowy bełt z kuszy przeszył mu gardło, kończąc żywot jednego z najbardziej zdolnych magów ostatniego półwiecza. Uzdrowicielka rzuciła się do pomocy, ale zdążyła tylko zamknąć mu powieki, cudem uniknęła kolejnego bełtu, rzucając się w tył za plecy towarzyszy. Oddział Batiarusa, przerzedzony do czterech osób, zastygł w obronnej pozycji.

Osoba w ciemnym płaszczu wstała, ukazując odzianą w żelazną zbroję postać. Paladyn Godryk uniósł wielki młot bojowy, zamachnął się nim nad głową bez specjalnego wysiłku i uderzył w centrum symbolu. Izbor gotów był się założyć, że się przy tym uśmiechał. Wibrujące dźwięki aktywowały kolejne energetyczne zasłony i obie grupy desantowe zdały sobie sprawę, że znalazły się w pułapce, zanim usłyszeli słowa Modwitowego wojownika.

- Witajcie, oczekiwaliśmy was.

Uniósł rękę i stojący obok Izbora Tahat runął na ziemię jak człowiek, któremu podcięto nogi. W oddziale Batiarusa Khez ryknął z bólu i rzucił się do beznadziejnej walki, jednak dowódca zdołał go powstrzymać.

- Jestem pełen uznania dla waszych zdolności bojowych i pełen szacunku dla waszego poświęcenia – powiedział Godryk, a jego słowa zabrzmiały dźwięcznie o ściany kazamaty – Daję Wam możliwość honorowej kapitulacji, po której uszanowane zostaną wasze dystynkcje i pozycja. Jednak zostanieie oskarżeni o to, po co tu przyszlście, o zabójstwo księcia Olafa. Ulundo, tak, tylko Styria mogła przysłać tu ulundo.

Tahat podniósł się na kolana. Izbor opuścił broń.

- Nie patrz w tamtą stronę, skrytobójco – Godryk odpowiedział na jego wzrok, wędrujący w kierunku podestu, na którym leżał opleciony rozszczępionym światłem z kryształu wergundzki książę – Jesteście otoczeni warstwami boskiej energii, nie zdołacie żywi przejść przez żadną z nich, a co dopiero przez kilka.

Gorączkowe poszukiwania wyjścia coraz bardziej przypominały uczucie paniki. Izbor nie znał tego uczucia i było mu z tym bardzo nieprzyjemnie. I wtedy po raz kolejny rzeczy przestały iść ustalonym torem.

U szczytu kopuły błysnęło. Wszyscy odczuli intensyfikację energii w całej tej magiczno-kapłańskiej konstrukcji. Kryształ centralny, klejnot stanowiący niegdyś część wspaniałego naszyjnika, zwanego Aramediconem, zabłysnął tęczą, a migoczący snop światła spłynął na nieruchomą postać

Olafa. Książę był bez wątpienia w letargu, z którego nie miał szans już się wybudzić, jednak wciąż żył, dlatego rytuał wiążący trwał, unieruchamiając tutaj wolę i energię bogini. W odległej Styrii jej wojska, pozbawione wsparcia i pomocy ulundo, cofały się kilometr za kilometrem w głąb lasów, a na powierzchni, na dziedzińcu zamku w Corv szalały potężne siły ścierających się bóstw i żywiołów. Krótki impuls sprawił, że Tahat podniósł się na jedno kolano. Izbor poznał ulundo już na tyle, że widział, kiedy działała wspólnomyśl, widział charakterystyczny gest przyłożenia dłoni do czoła i przymknięte oczy z odwróconymi źrenicami.

Godryk nie znał ulundo.

W idealnie zsynchronizowanych gestach Tahat i Khez rzucili się na otaczające ich magiczne kręgi. Żaden człowiek nie przeżyłby przejścia przez taki krąg, oni jednak nie byli ludźmi, a Tavar była tuż obok. Z przeraźliwym trzaskiem pękła część zewnętrznych warstw.

Batiarus zareagował natychmiast, z pełnym poświęceniem rzucając się do osłony Pana Skał, zapewnił mu wolną drogę przez następne pięć metrów, dzięki czemu ten zdołał się przebić do najbliższego z medytujących kapłanów. Osłona pękła, młodzieńca dosięgnął cios kamiennej pięści.

- Bracie!

Rozdzierający krzyk Kheza podkreślił dźwięk padającego na ziemię ciała, zmieszany z dźwiękiem rozsypywanych kamieni. Khôr'gona z głośnym westchnieniem oddał ducha bogini, a część jego ciała rozsypała się w drobny żwir, który posypał się po posadzce.

Aine widząc, że Tahat ledwie trzyma się na nogach, skoczyła w kierunku miejsca, gdzie stał on i Izbor, nie dzieliła ich już ściana energii, więc wystarczyły jej trzy wyciągnięte skoki. Równocześnie Izbor przeszedł w ślad za Tahatem granicę kręgu, odepchnął ulundo, który potoczył się bezwładnie po ziemi. Izbor zanurkował szybkim unikiem przed ciosem młota, ale przed uderzeniem słowa mocy już nie zdążył, poleciał na dobre dwa metry do tyłu i upadł na posadzkę, uderzając potylicą o marmur.

Aine korzystając z krótkiej chwili, gdy przeciwnik zwrócił całą uwagę na Izbor, docisnęła rękami skronie Khôr'zigira i wyrecytowała zaklęcie wzmocnienia. Otarła z czoła Tahata krew, która puściła jej się z nosa i opadła na posadzkę. Ulundo ciężko wstał. W spojrzeniu, które jej posłał, było wystarczająco dużo wdzięczności, żeby potrzebne żadne słowa. Wciągnął powietrze, otrząsnął się i rzucił się na kolejny z wewnętrznych kręgów.

Aine wstała po raz ostatni. Chciało jej się śmiać z ironii losu. Chwiejnym krokiem podeszła do Izbora, uderzenie w posadzkę spowodowało u niego pęknięcie czaszki, a uderzenie paladyna połamało mu żebra. Usiadła przy nim i rutynowym, wykonywanym tysiące razy gestem przejechała po miejscach obrażeń. Zrastające się kości spowodowały ból, Izbor ocknął się i spojrzał na nią ze szczerym zdumieniem. Przytrzymał ją za rękę dopóki nie zamknęła oczu.

Godryk za późno zorientował się, co się dzieje i rzucił się w ślad za ulundo. Energetyczna bariera trzeszczała, syjąc iskrami i wyładowaniami, Tahat był już o mniej niż trzy metry od podestu. Na pomoc Godrykowi skoczyło trzech paladynów, ale ten zdążył krzyknąć:

- Za nim! – wskazując na ulundo. Tahat z trudem trzymał się na nogach, jednak coś dodawało mu nienaturalnie sił. Wciągnął powietrze i głośno zaczął inkantować modlitwę. Trzasnęła granica wewnętrznego kręgu, przejście przez nią zmasakrowało organizm ulundo, spowodowało krwotok

wewnętrzny, pęknięcie bębenków w uszach i pozbawiło go wzroku. Ale on wiedział, gdzie iść, miał na to mnóstwo czasu, jakieś dwadzieścia sekund życia, które mu pozostały.

Widząc to, Godryk zignorował Izborę i rzucił się co podestu, jednak nie miał szans. Ciśnięta fala energii obaliła Tahatę, ale wstał natychmiast, niemal odbił się od posadzki i wskoczył na podest, unosząc miecz. Paladyn uderzył słowem mocy, wykrzyczanym w panice, błysk światła uderzył ulundo na sekundę po tym, jak ten zatopił ostrze w ciele wergundzkiego władcy. Martwy Tahat upadł tuż obok księcia, plamiąc krwią i spalonym drewnem białe posłanie, a kolejną sekundę później obydwie ciała zasypał migoczący proch z kryształu, który pękł z potwornym piskiem, zagłuszającym nawet hałas rozsypującej się siatki magicznych kręgów.

- Pozdrowienia od Dragana, władcy Terali – cios sztyletu zaskoczyłby Godryka, gdyby w ogóle go obchodził. Własne życie przestało mieć znaczenie, zresztą już dawno ofiarował je sprawie. Nie było mu żal. Wolałby polec w glorii całkowitego zwycięstwa. Ale przecież wergundzka armia wczoraj weszła do Aenthil. Nawet przerwanie rytuału nie odwróci biegu wojny... I wtedy dopiero, w przedśmiertelnym natchnieniu, dotarły do niego wypowiedziane cicho z bliska słowa Izborę. Dragan... Jednak zdradził. Nie przewidziałem tego... Modwicie, wybacz... chroń Wergundię...

Artvr przykrył ciało przełożonego płaszczem. Zdawał sobie sprawę, że chwilę wcześniej umarł sam jego władca, ale śmierć Godryka przejęła go bardziej. Chwilowo był najstarszym rangą w kazamacie.

- Hołd bohaterom Wergundii!! – zarządził i obecni żołnierze i paladyni zaszalutowali i przyklękli na kilka sekund – Zwłoki ulundo zabrać i przekazać wedle rozkazów brata Godryka. Ciało jego wysokości księcia złożyć w trumnę i podziemiai przenieść do grobowca, zamienić z tamtą trumną, zaplombować, tamtą spalić. Brata Godryka i pozostałych poległych złożyć w kaplicy.

W zimną, ale precudnie rozgwieżdżoną noc Samboja z Konaszów Bobrowicówna, małżonka wojewody teralskiego Dragana, poprawiła duże owcze futro, w które owinęła przemarznięte stopy i dorzuciła do paleniska kolejny pień. Było chłodno, ale pamiętała zimniejsze noce.

Noc Gromu była wyjątkowym czasem na ziemiach Terali. Wypadająca w pięć tygodni po Zimowych Godach stanowiła serce zimy i przypadała najczęściej w czas bardzo śnieżny i mroźny. Ludzie, by udać się do świątyni, musieli przecierać szlaki przez śnieg, brnąć w zaspach i tym bardziej cieszyli się ciepłem wielkich ognisk, rozpalanych wówczas pod świętymi dębami. Od ognia zapalali wielkie świece, na których żery malowali lub ryli boskie znaki, świece te trzymano w chatkach i zapalano, gdy na zewnątrz szalały burze z piorunami. Płomień świecy chronił domostwo przed uderzeniem pioruna.

Tamtego roku jednak wszystko było absolutnie nie tak. Po pierwsze w ogóle nie było śniegu. Cieszyło to zwierzyńkę leśną, jednak kmiecie obawiali się, że wiosna przyniesie mnogość insektów i plag owadzi, mówiono też, że jako iż natura nie znosi braku równowagi, to niedosyt opadów w trójnasób wynagrodzi w lecie, co grozić będzie wystąpieniem Wedry z brzegów i klęską powodzi. Po drugie, letni wiec wschodniej i zimowy wiec całej Terali, które wyniosły kniazia Dragana do najwyższej dostępnej godności w kraju, ofiarując mu buławę wojewody całej Terali. Za tym jednak szły zmiany. Nie było dobrze widziane chadzać na kapłańskie rytuały. O ile w małych siołkach i opolach większość ludzi żyła dawnym trybem, pospołu oddając hołdy Naturze w druidzkich kręgach i bogom w świątyniach i kącinach, o tyle w grodach i większych osadach przestało być bezpiecznym

pojawianie się na tych ostatnich. Szybko rozrastająca się kniaziowa gwardia osobista rekrutowała się spośród ludzi nie oddających czci bogom, głośno mówiło się wręcz o organizacji, której sensem działania właśnie było podobno odsunięcie ludzi od bogów. Nawet druidzki kowen Aeithne, najwierniejszy z wiernych, obecnie został odsunięty na drugi plan i podporządkowany nowym sojusznikom kniazia.

Samboja widziała to wszystko i nieraz wyrzucała sobie, że brakuje jej sił i energii, by przeciwdziałać. Ingerowała nieraz u męża, jeździła po kraju, wpływała na ludzi autorytetem własnym i swego rodu.

Nie było jednak tak, że wszystko się zmieniło na złe. Były też pozytywy, ogromny autorytet kniazia jako dowódcy polowego i poczucie zagrożenia, jakie wzbudził w ludziach wybuch wojny na południu, ułatwiały zmiany w kraju grodów. W przeciągu kilku miesięcy Dragan zdołał zmodyfikować system rekrutacji do armii, wprowadzając pobór do jednostek wojskowych poza służbą feudalną, jednostki te, zwane wybranieckimi, były całkowicie niezależne od rodów i znaków, służyły tam wyłącznie pod znakiem Dragana, który w przyszłości planowano zmienić na symbol Terali. Służyli tak witezie, jak i kmiecie, za regularnie wypłacany żołd. Szereg posunięć, od systemu zbierania podatków, przez nadzór nad sądami kniaziowskimi, aż do wprowadzenia obowiązkowych wspólnych dla całej Terali świąt, udało się Draganowi wprowadzić przez zimę. Najważniejsze jednak z jego przedsięwzięć było dopiero przed nim.

Kniahini Samboja z radością i optymizmem przyjmowała większość zmian, zresztą, większość z nich nadzorowała lub w ogóle opracowywała samodzielnie, podróżowała niemal bezustannie po grodach, własną osobą nadając rangę ogłaszanych edyktom. Ludzie również witali zmiany z ulgą, bowiem uspokajały one ich obawy przed kolejną wojną. Samboja jednak nie pozwalała sobie na poczucie bezpieczeństwa

Ale jednak coś zmieniło się w duszy kniahini po tym, jak powiła swojego wyjątkowego synka. Był dla niej całym światem. To nie było tak, że Samboja nigdy wcześniej nie kochała. Kochała wiele razy, wspaniałych, wartych uczucia mężczyzn. Kochała niegdyś Dragana, śmiałego wojownika i wodza, kochała swojego pierwszego małżonka, na którego wspomnienie wciąż podświadomie się uśmiechała z tęsknotą. Ale to byli tylko mężczyźni. Dopiero synek zmienił w jej ułożonym życiu absolutnie wszystko. Od pierwszych jego chwil rozumiała, że wielką, daną jej od bogów misją jest ochronić go, ocalić, do czasu, gdy sam będzie w stanie bronić się przed tymi, którzy chcą zarzucić pęta na jego duszę. Nie rozumiała do końca, dlaczego tak jest, kim jest jej syn, że tak wielu chce przejąć nad nim kontrolę. Nie bardzo ją to obchodziło.

Z zamyślenia wyrwało ją odległe rzenie konia, poderwała się i podeszła do okna, ale nie dostrzegła niczego oprócz wartowniczego ogniska na dziedzińcu. Gród Ścieburza rzadko odwiedzali podróżni, dlatego właśnie wybrała to miejsce. Musiała na jakiś czas zniknąć z dworu w Karantanii. Choć jesienią udało jej się uwolnić syna od magicznych więzów, to spokój nie gościł w jej duszy ani razu od tamtego czasu. Obawiała się ludzi, którzy szczelnym kordonem otaczali jej męża, ludzi, którzy z wielkim zaangażowaniem oferowali opiekę nad małym Ziemowitem, wręcz na nią nalegali. Panowali nad wszystkimi niemal aspektami działania kniazia.

Zaczęło się od propozycji. Podsuwanych opiekunek. Sugestii oddania na wychowanie do odległych szkół, których nazw Samboja nigdy nie słyszała. Ostatni epizod, który skłonił ją do decyzji o usunięciu się z dworu, to była wręcz groźba. Groźącego wyrzuciła za drzwi. Ale wiedziała, że wróci i wróci uzbrojony w ludzi i możliwości.

Tu była jakaś szansa, że dadzą jej spokój. A przynajmniej czas na przemyślenie.

Wojewodzina owinęła się szczelniej wełnianym pledem i cicho stawiając stopy na skrzypiących deskach sali kominkowej wyszła na galeryjkę. Sypał drobnutki śnieg, choć wyjątkowo ciepła zima. Większość nieba była jednak czysta od chmur, pełna gwiazd, bezksiężycowa. Nad horyzontem zawisł zimowy gwiazdozbiór Łucznika, wyrazisty i olbrzymi.

Zarżał koń.

Potem kolejny. Ktoś załomotał do bramy. Wartownicy podbiegli do furty, kniahini usłyszała, jak skrzypnęło otwierane skrzydło. Cicha rozmowa. Zgrzyt broni. Znów rozmowa. Odgłos kroków. Wracając do sali kominkowej zdała sobie sprawę, że zaciska kurczowo dłoń na sztylcie.

- Pani – wartownik ukłonił się na progę – Ten człowiek zażądał rozmowy z tobą.

- Witaj, kniahini – przybysz zdjął konczysty czarny kapelusz i w klasycznym teralskim ukłonie zamaszystym gestem zamiótł podłogę. Samboja otuliła się pledem, sprawdzając dyskretnie, czy sztylet da się szybko dobyć.

- Witaj, Owizorze. Widzę, że ani odległość, ani nocna pora nie powstrzymały cię przez zawracaniem mi głowy, musi to więc być coś ważnego – w głosie kniahini zaświszczały lodowe połączenie północy. Mag uśmiechnął się.

- Nie zbudziłem cię jednakże, pani. Uprzedziłem wszak po tym, jak się ostatnio pożegnaliśmy, że wrócę. Tu jest pismo od kniazia wojewody, podpisane jego dłonią. To osobiste zobowiązanie do dania gwarancji bezpieczeństwa tobie i Ziemowitowi – Samboja nie drgnęła na wyciągniętą w jej kierunku rękę ze zwiniętą kartką, więc Owizor położył pismo na stole – Przyznaję, książę Dragan był niezwykle zdziwiony twoim wymaganiem.

Po dłuższej chwili ciszy kniahini usiadła ciężko na ławie.

- Nie oddam syna.

- Ależ nigdzie nie musisz go oddawać. Możesz pojechać z nim.

- Na obcą ziemię, gdzie nie chroni mnie mój ród i moi witezie?

Owizor uśmiechnął się z lekkim politowaniem.

- Moja pani. Tutaj także cię nie chronią. Wokół zamku stoją trzy dziesiątki moich ludzi.

- Więc grozisz mi tak otwarcie? – Samboja nie zawrzała gniewem, nie zmarszczyła brwi i nie przyjęła pozy bogini furii, jak w czasie ostatniego spotkania w Karantanii. Wyglądała na zrezygnowaną, smutną i przybitą – Przychodzisz po moje dziecko, grozisz małżonce wojewody...

Owizor szybko skorygował ton. W dwóch szybkich krokach podszedł do ławy, ukląkł na jedno kolano i pochylił głowę w geście oddania czci.

- Moja pani, wybac mi te słowa. Nie zamierzałem ci grozić. Chciałem powiedzieć, że zapewnimy bezpieczeństwo tobie i małemu kniaziowi, nigdzie nie będzie tak bezpieczny, jak pod naszą opieką. Tylko współpracuj, błagam cię. Zaklinam. Pojedź z nami.

Wiatr za oknem przybierał na sile. Gwiazdy zniknęły za chmurami.

- Nie mam dokąd uciec – powiedziała Samboja, patrząc z zamyśleniem w ogień paleniska – Nie mam wyjścia. Proszę, dajcie mi godzinę na spakowanie rzeczy. Wpuść swoich ludzi na dziedziniec, niech się ogrzeją w wartowni. I jeszcze przez chwilę dajcie mi spokój. Potem będzie, co zechcecie.

Wstała, zostawiając na ławie pled, a mag jeszcze przez chwilę pozostał w przykłęku, czekając, aż zniknie za drzwiami alkowy.

Gdy zamknęła za sobą dębowe, ciężkie wrota, rezygnacja i smutek spłynęły z jej twarzy jak woda z mokrej kaczki. Siedząca przy dziecięcej kołysce kobieta zerwała się.

- Moja pani!

- Znaleźli nas, Soniu – kniahini podbiegła do kołyski i delikatnym gestem poprawiła futro, którym otulony był śpiący chłopczyk – Musimy uciekać.

- Korytarzem?

- Tak. Kto jest na służbie?

- Mirko i Kietlicze. I Trawułt. Pani, nosidło dla dziecka – witezia podała wełniany zwój do zarzucenia przez plecy – Przygotowałam wszystko tak, jak mówiłam wcześniej...

Samboja przerwała na chwilę wrzucanie rzeczy do podręcznej torby i podeszła do Sonji, unosząc dłoń do jej policzka.

- Dziecko, nie chcę, żebyś to robiła. To jest zbyt duże ryzyko. Nie wiesz, do czego są zdolni.

- Wiem, widziałam pod Srebrnohorą – dziewczyna ujęła dłoń swojej kniahini i pochyliła do niej czoło – Moja pani, daj mi wypełnić dane słowo. Obdarzyłaś mnie niegdyś ogromnym zaszczytem reprezentowania ciebie, pozwól także teraz, bym to uczyniła. Nie zrobią mi krzywdy. Zatrzymamy ich, damy ci czas, a ty będziesz już daleko. Najbliżej jest do Bilebrezy, tam przebywa Maja, ona da ci ochronę. A my sprowadzimy pomoc.

- Dobrze – kniahini uśmiechnęła się z lekkim westchnieniem – Jak ja ci się odwdzięczę, dziewczyno.

Godzinę później zniecierpliwiony Owizor w końcu zapukał do alkowy kniahini i zastawszy pusty i pokój, i kołyskę, zwołał alarm.

- Przeszukać wszystko! Nie mogła uciec, muszą być na grodzie! – krzyknął, jednocześnie przeszukując pomieszczenie z widocznymi śladami pakowania się w pośpiechu. Zaklął cicho, trafiwszy dłonią na rozlaną wokół cebrzyka wodę. Pachniała intensywnie drzewem sandałowym, wywarem z nagietka i henną.

- Tam! Widziałem! Tam ucieka! – wołanie z dziedzińca przerwało jego rozmyślenia.

- Drugie komando niech wykona rozkazy! – krzyknął i ze złością rzucił o podłogę cebrzykiem. Nie udało się. Cokolwiek będzie dalej, nie udało się zrobić tego tak jak chciał, czyli bez rozlewu krwi.



Dostrzegli charakterystyczne długie płomiennorude włosy kniahini, gdy uciekała górną galeryjką, niosąc w rękach zawiniątko, zapewne dziecko. Towarzyszyła jej obstawa, trzech ludzi. Zbiegła schodami na poziom kuchenny. Tam natrafili na szermierza.

- Zasadniczo to nie macie prawa – oznajmił Mirko ze złośliwym uśmiechem – Jestem na służbie kniazia Dragana! A pierwszy, który podejdzie, umrze.

- Rzuć broń! – człowiek o rysach Ofirczyka i smagłej cerze nie uwierzył – Rzuć broń, człowieku, mamy glejt wojewody! – jednak zamiast glejtu wyszedł z dalekim sztychem z wykroku. I umarł. Mirko z łatwością uniknął ciosu lekkim skrzyśnięciem ciała i ciał z boku eleganckim prostym cięciem.

- Następny?

To była ładna walka. Gdy ciała czterech poległych zaczęły przeszkadzać w walce w kuchennym przedsińku, Mirko pomyślał, że to ma szansę powodzenia. Nikt nie mógł mu się równać w starciu na ostrze. Zamiast wycofać się w ślad za kniahinią, postanowił nauczyć rozumu jeszcze kilku.

Pierwszą strzałę zauważył i odruchowym, absolutnie podświadomym ruchem odbił końcówką miecza. Drugiej i trzeciej odbić już nie miał szans. Dosięgły go precyzyjnie, pierwsza w krtani, druga tuż powyżej serca. Tell, mijając ciało zabitego, starannie wyjął brzechwy.

- Ciało zanieść na dziedziniec, z honorami. Pozostali za kniahinią! – rozdysonował.

Dopadli ją u wylotu korytarza, który prowadził przez piwnice i magazyny kuchenne na niewielką esplanadę, zakończoną blisko piętnastometrowej głębokości fosą. Stała przy samej krawędzi, z rozwiewanymi przez wiatr włosami w kolorze płomieni. W rękach trzymała miecz i niewielką tarczę. Po jej dwóch flankach stali wojownicy z rodu Kietliczów, o czym informowały barwy wstęg przy włóczniach.

- Jestem Gniewomir z Kietliczów Karanowic – odezwał się mocnym głosem jeden z wojowników – Z rozkazu kniazia wojewody ochraniam jego małżonkę i syna. Imieniem kniazia wzywam was do odstąpienia, w przeciwnym razie podniesiecie rękę na ...

Przerwał, widząc, że cała przemowa nie ma sensu. Mieli przeciw sobie dobrze dwudziestu ludzi, lekko odzianych w niejednolite stroje, jak grupa najemna albo bandyci. Ale nie byli ani jednym ani drugim.

- Są na tym świecie sprawy większe niż twój kniaz – odezwał się człowiek na czele oddziału – Macie dziesięć sekund na wydanie kniahini i złożenie broni.

„To za wcześnie...” – pomyślała kobieta kilka minut później. Sama zdziwiła się, że to pomyślała, bo myśl pojawiła się w trakcie starcia. To nie była jej pierwsza walka, ale nie lubiła walczyć, szcęk żelaza zmuszający do przymyknięcia oczu, nagły ból, uderzenia adrenaliny i przeciążone mięśnie, to zawsze sprawiało jej trudność. Jeśli było trzeba, to walczyła. Teraz tak trzeba.

Przy jej boku trafiony z kuszy Gniewomir osunął się ciężko na jedno kolano i po chwili desperackiej obrony w tej pozycji upadł pod ciosem topora. Przeclaw bronił się jeszcze przez chwilę, ale wszystko to wydawało się jej snem. To za wcześnie. Nie przeżyła jeszcze wszystkiego, co chciała. Nie pożegnała się z mężem... Nagła fala żalu i tęsknoty zacisnęła jej gardło i zamgliła oczy. Jak to, już nigdy nie zobaczyć...

Błysk bólu.

Strasznie boli. Miecz przeszedł pod jej tarczą i rozciął mięśnie lewej nogi aż do biodra. Czują obrzydliwie ciepłą ciecz, zalewającą zewnętrzną część nogawki spodni. Mrowienie w dłoniach, nagłe uderzenie strachu. To już?

Strasznie boli. Naprawdę, bardzo. Nie, więcej już nie. Takie umieranie za bardzo boli. Tarcza już nie nadaża, jest za ciężka, dostała ją przed chwilą od Trawuła, jest niedopasowana, za bardzo obciąża ramię. Nie, niech już nie uderzają. Dwa kroki w tył. Stopa nie ma podparcia. To krawędź. Nie. Wytrzymam ból. Nie ustąpię. Boli!

Kolejny cios rozciął mięsień lewego barku i unieruchomił rękę z tarczą, więc zrzuciła ją i wszystkie siły jakie jej zostały, włożyła w serię ciosów. Część dosięgła celu, ale kosztowała kolejne rany, które już właściwie nie bolały. Tonąca trochę powyżej serca jesionowa brzechwa była odczuwalna jak drzazga w palcu. Odrzuciła ją mocno do tyłu. Stopy straciły oparcie.

- Stać! – kobiecy głos wstrzymał uniesione miecze i kolejny strzał Tella, ale było za późno. Rude, mokre jeszcze, włosy jak wstęga popłynęły za nią przez powietrze. Umarła, zanim uderzyła o kamieniste dno fosy.

- Pani Tulio, proszę o wybaczenie! – dowódca przypadł do drobnej kobiety w zielonym płaszczu – Broniła się jak sam Styrwit, nie mogliśmy nic poradzić. Ale zawiniątko z dzieckiem leży tam w podcieniach!

- Mam na imię Tuuli. Każ ludziom zejść na dół po ciało, będzie potrzebne. Pozostałym wyprawcie pochówek. Tylko żadnych imion na grobach.

- Nawet kniahini? I co z dzieckiem....

- W zawiniątku nie ma dziecka – szamanka kruka uprzedziła o kilka sekund reakcję jednego z najemników, który podniósł wełniany zawój – A to nie była kniahini. Była witezią, miała na imię Sonja. Zapamiętajcie to imię. Tak się umiera dla swoich ideałów.

Samboja z trudem podniosła ciężką kamienną pokrywę, podpierając się końcami palców na drabinie. Dziecko, przytulone do jej pleców, milczało zupełnie jakby rozumiało, że jego bezpieczeństwo zależy od ciszy. Kniahini podniosła się na rękach, zarzuciła kolano na powierzchnię wjazdu, rozdzierając przy okazji suknię, po czym ciężko opadła na suchą trawę, wykończona wariackim biegiem przez podziemne lochy. Nawet nie chciała myśleć, co działo się w grodzie, który zostawiła za plecami. Była bezpieczna. Ona i Ziemowit.

Czyżby.

Intuicja krzyczała.

Ziemowit zapłakał.

Zanim w świetle szarzejącego przedświtu dostrzegła postać, wyszarpnęła krótki miecz, gotowa bronić się do ostatka. Po krótkiej chwili rozpoznała postać, stojącą nieruchomo z kolbą naciągniętej kuszy przyłożoną do barku. Postać człowieka, którego przed chwilą wysłała po pomoc do kowenu.

- Trawułt.

- Odłóż miecz, pani. To nie ma sensu.

- Coś ty zrobił... – szepnęła – Coś ty zrobił, chłopcze. Przysięgałeś wierność kniaziowi.

- Są na świecie sprawy większe niż kniaź. Przysięgi ważniejsze, niż te składane suzerenom. I zło większe niż to, które znasz. Nie zrobimy krzywdy twojemu dziecku.

Samboja wyprostowała się, przerzucając nosidełko tak, żeby dziecko znalazło się przed nią, zamiast na plecach. Uniosła głowę w taki sposób, że każdy patrzący bezbłędnie rozpoznalby kniaziowskie wychowanie.

- Nie. Nie oddam go. A ty nie strzelisz. Może i składałeś jakieś strasznie ważne przysięgi. Może i chcesz walczyć z jakimś wielkim złem. Ale znam cię, Trawułcie, synu Trewira, i wiem, że do mnie nie strzelisz, nie strzelisz do matki, która chroni swoje dziecko, bo jesteś dobrym człowiekiem!

Odwróciła się na tyle szybko, żeby nie dostrzegł jej drżących rąk i poruszających się w modlitwie warg. Ułożyła dziecko tak, żeby bełt przechodzący przez serce nie mógł go dosięgnąć. Powoli ruszyła przed siebie.

- Kruk nie widzi – Tuuli zrezygnowana usiadła na kamiennej płycie – Jest mgła, a ona dodatkowo okryła się jakąś swoją magią i tyle z tego.

Owizor przetarł dłońmi twarz, by odgonić zmęczenie.

- Wyślę za nią obławę, ale z jej talentem... Wątpliwe. Jesteś pewien, że jej nie widziałeś?

- Co? – Trawułt drgnął, wyrwany z zamyślenia – Nie, na pewno. Wiedziałem, gdzie jest wyjście tunelu, więc tu pobiegłem, licząc, że ją złapię, ale musiała być szybsza. Nie widziałem jej, ale kamień był odsunięty. Chyba, że to podstęp, a ona jest dalej w lochach.

Owizor podniósł głowę.

- Cholera, masz rację. Odwołać komando Tella! Przeszukać lochy!

## CZEŚĆ II

Bluszcz nie był ulubioną rośliną Aerlinn, w końcu był pasożytem, żywił się energią innych, choć rzadko zduszał i osłabiał drastycznie swego żywiciela. Ale odpłacał się światu urodą ciemnozielonych splotów, zdobiących niczym najmisterniejsze ażury kolumnady, altany, balustrady pałaców. Biały kamień o lekkim kremowym odcieniu, zwany trawertynem, wydobywany kilka mil stąd, przepięknie komponował się z bluszczową okrywą.

Aerlinn szła powoli alejką. Odgarnęła drobną dłonią pnącza, delikatnie gładzące ją po twarzy. Pomyślała, że powinna płakać, rośliny to wiedzą, jakby chciały otrzeć łzy z jej policzka. Otulała ją cisza. Zieleń i biel. Płynąca gdzieś z innych wymiarów delikatna muzyka... Chciała zapamiętać chropowatą czułość kamieni, zapach zdeptanych kwiatów, wilgoć mgły we włosach. Było tak bardzo cicho...

Minęły trzy miesiące. W życiu uzdrowicielki bywały szczęśliwe chwile, wielkie triumfy, małe wzruszenia, ale nic, co przeżyła, nigdy w jej długiej elfiej pamięci nie miało przyćmić momentu powrotu do miasta Aenthil. Po wszystkich latach tułaczki, odległych szlakach, które przeszła, to było jak powrót do ukochanej, dawno nie widzianej osoby. Znać było na jej twarzy te lata, choć wedle ludzkich standardów wciąż jej rysy odpowiadały urodzie nastoletnich ludzkich dziewcząt, to każdy, kto znał trochę elfy, mógł zauważyć różnicę. Wzrok, bardziej nieobecny, przygaszony. Drobne zmarszczki przy oczach. Złociste włosy tracące blask przy skroniach. Uśmiech, ciepły i serdeczny, ale rozplywający się w kącikach ust załamujących się lekko w dół, jakby nieustannie doprawiony kroplą goryczy. Podobnie było z miastem. Wycofujący się Styryjczycy nie zniszczyli go. Elfy, które zapamiętały miasto w ruinie, płonące i zniszczone, były zaskoczone jego odnowioną urodą, choć raz po raz wprawne oko znajdowało nieporadne ludzkie próby renowacji, ciężki, ciosany kamień zamiast gładzonych piaskowców, kanciaste zastrzały zamiast łukowych sklepień i ażurowych balustrad. Ale to nic, nic nie znaczyło. Bolało, tak jak odkrywanie starych blizn na twarzy ukochanej osoby, ale nie mogło przewyższyć ogromu wzruszenia i radości ze spotkania.

Przez trzy miesiące trwał ten wielki, wzruszający powrót. W cieniu wojny, bo już niespełna cztery mile na południe od miasta Styryjczycy okopali się w rejonie Grot Vireledy i od ich potęgi chroniła miasto tylko karna i żelazna armia wergundzka. Wielka ofensywa znad rzeki Vran, jaka ruszyła zaraz po ogłoszeniu śmierci księcia Olafa, dosłownie zmiotła stanowiska styryjskie. Wszystkie szykowane od miesiący umocnienia w przeciągu kilku dób znalazły się w rękach Wergundów, którzy szli jak burza. Bury tymen, korzystając z taktyki długich rajdów kawaleryjskich, wbił się niczym sztych rapiera długim klinem pomiędzy dwa zgrupowania sił styryjskich, rozbijając linie komunikacji i zagrażając flankom. Elitarne potężne jednostki czarnego tymenu, najlepszej części armii, ruszyły zmiatając wszystko po drodze, szerokim manewrem oskrzydłującym od zachodu, wspomagane przez jednostki othat'yaro, rzucone do walki z granicy w Hehtanore. Najwolniej szła ofensywa na wschodnim skrzydle frontu, gdzie zielony tymen napotkał na spory opór ludzi ze Styrii i ochotników z Itharos, więc zmuszony został do jednoczesnego bezustannego zabezpieczania wschodniej flanki. Co i tak nie przeszkodziło w konsekwentnym marszu na południe.

To była błyskawiczna kampania. Spektakularna i zadziwiająca poniekąd klęska Styrii, po której spodziewano się jeśli nie oporu, to chociaż symbolicznego podjęcia walki. Tymczasem oddziały cofały się kilometr za kilometrem, w dodatku były to głównie ludzkie oddziały, zupełnie jakby ulundo zniknęły ze styryjskich szeregów lub zasnęły snem zimowym. Każdy średnio uzdolniony kapłan rozumiał przyczynę stanu rzeczy – Tavar odmówiła swoim dzieciom pomocy. Było to niezrozumiałe i

dziwne, dlatego z imponująco szybkiej kampanii cieszyli się głównie nowicjusze i najemnicy, a i to nie ci najbardziej doświadczeni. Weterani rozumieli, że Styria wycofała się, zachowując żywotność swoich oddziałów, oddała tylko ziemię, nie tracąc ludzi. Na coś czekali.

W tym oczekiwaniu minęły trzy miesiące.

Aerlinn otarła policzek, na którym powinna być iza, ale był tylko pył. Cisza dźwięczała w uszach, stopniowo zamieniając się w dźwięczący skowyt.

Aż pękła.

Uzdrowicielka opadła na kolana, kryjąc głowę, na którą posypały się kamienie i pył z rozwalonej pociskiem kolumny. Pocisk, ciśnięty przez potężnej postury ulundo potoczył się o niespełna pół metra od niej. Powietrze drżało od huku kolejnych pękających magicznych barier, jężory ognia strzelały w niebo raz za razem, ścierające się w powietrzu zakłęcia raz po raz powodowały efekt, przypominający wybuch fajerwerków albo letnią burzę. Z tyłu, zza alei bluszczów wybiegł kolejny oddział, Aerlinn gdyby spojrzała, bez trudu rozpoznałaby rude kamizele burego tymenu i charakterystyczne uzbrojenie kondotierów. Bury tymen, który przejął na siebie ciężar osłony odwrotu armii, nie używał do walki w samym mieście oddziałów konnych, te operowały na obrzeżach i wokół Aenthil. Na ulicach walczyły oddziały piesze. Na komendę – Aerlinn założyłaby się, że mimo wszystko był to kobiecy głos – oddział zatrzymał się tak blisko nadbiegającej fali styryjskiej, że niemal przyłożył groty strzał do nosów przeciwników. Na kolejną komendę pierwszy szereg przyklękł i obydwie szeregi wystrzeliły serię strzał, odrzucając przeciwników i robiąc sobie kilka metrów przerwy. Po czym pierwszy szereg przerzucił łuki do sajdków, podniósł okrągłe tarcze i ruszył do przodu, zajmując na wpół zburzony wał, który dawał częściową osłonę przed ogniem i strzałami wroga. Zza ich pleców łucznicy wystrzelili jeszcze kilka serii. Od strony styryjskiej nad głowami najemników kilkakrotnie przeleciały kamienne pociski ulundo, a raz po samej ziemi wielki jężor ognia, który doszedł aż do miejsca, gdzie leżała elfka, cały czas nakrywając rękami głowę. Od grupy najemników odłączył się jeden z walczących i podbiegł do niej, podnosząc za ramiona.

- Pani elfko! Żyje pani? – dźwięczny głos młodego najemnika przebił się do świadomości oszołomionej uzdrowicielki – Musi pani stąd uciekać!

- Nigdzie się stąd nie ruszam – szepnęła tak cicho, że ledwie usłyszał – Jestem u siebie.

- Przepraszam, pani, ale muszę cię stąd zabrać. Tu zaraz będzie niezłe piekielko, od tamtej dzielnicy idą na nas ulundo, wał ogniem jak dzikie. A my utrzymamy tę pozycję maks z dwie godziny.

- Teive'rel.

- Co?

- Teive'rel. Ta dzielnica nazywa się Teive'rel.

- Eeeee.... Dobrze się pani czuje?

- Divakaaaar! – rozległo się od barykady – Rusz zad tu, co ty tam robisz!

- Potrzebuję pomocy tu! Jakaś elfka tu...

Aerlinn przerwała mu, kładąc rękę na ramieniu najemnika. Wstała, otrzepując sukienkę.

- Już w porządku. Pomogę wam. Zostanę tu z wami.

- Gleba!!!! – Divakar zgarnął ramieniem elfkę i przypadł do ziemi w ostatniej chwili, unikając kolejnego ogniowego jezora.

- Strzeeeeel-cy! Na komendę.... jeszcze nie... nie... nieeeee... strza!!! – kobieta, która wydawała komendy, dysponowała głosem, zdolnym przekrzyczeć wrzaski walczących, rumor walących się budowli, trzask płomieni i huk magii nad ich głowami. Sądząc po krępej i przysadzistej budowie, nie była człowiekiem, natomiast sądząc po dystynkcjach na naramiennikach, była dowódcą w randze kwintyliona. Stopień ten, charakterystyczny dla oddziałów kondotierskich, odpowiadał dowódcy pięciu kohort i był najwyższym dostępnym dla wojowników spoza regularnej armii – Dobrze! – krzyknęła dowodząca, widząc, że celna salwa odrzuciła przeciwników z przedpoła jej małej barykady – Dobrze, zablokować to magią! – w odpowiedzi na jej słowa magowie bojowi rozpoczęli inkantacje ścian płomieni na linii poniżej wału. Dowodząca zeskoczyła z załomu, na którym stała. Uwagę Aerlinn zwrócił fakt, że była leworęczna, a tarczę nosiła zapiętą ciasno na prawym przedramieniu, bez używania dłoni – Co za elfka? – zapytała, podchodząc do tylnych szeregów, w międzyczasie wydając kolejne polecenia adiutantom, którzy błyskawicznie rozbiegli się, zapewne w kierunku pozostałych barykad.

- Chyba ranna – Divakar przyjrzał się Aerlinn, ale nie dostrzegł niczego poza stłuczeniami.

- Proszę wybaczyć – Aerlinn zmieszała się faktem, że robi problem walczącym – Jestem uzdrowicielem z kasty... mniejsza z tym, pomogę wam tutaj, mogę leczyć, nosić rannych, cokolwiek. Tutaj. Nie odchodzę stąd.

Krasnoludka, bo tej rasy bez wątplenia była kwintylion, przyjrzała się jej z uwagą.

- Pani elfko, wasze oddziały zostały przydzielone do błękitnego i zgrupowane na północnych rubieżach miasta. Wasza księżna zdecydowała, że się wycofujecie razem z nami. Bo w sumie nie macie większego wyboru – wycofać się, albo tu umrzeć.

- Pani oficer – głos uzdrowicielki był przytłaczająco poważny – czy gdybym wybrała to drugie, dałaby mi pani możliwość spełnienia tego wyboru?

Najemniczka uniosła brwi. Pomilczała dłuższą chwilę.

- Tak – odpowiedziała wreszcie, dodając z namysłem – Wierz mi, bardzo dobrze cię rozumiem.

Po trzech miesiącach, spędzonych na fortyfikowaniu południowych rubieży Aenthil armia wergundzka rozłożyła się w terenie zgodnie z założeniami taktycznymi i oczekiwała. Wszyscy, od magniferów i członków sztabu, aż do ostatniego obozowego ciury, byli świadomi, że Styria w końcu odpowie, że w końcu ruszy kontrofensywa. I, prawdę mówiąc, znakomita większość wergundzkich i najemnych wojowników czekała na nią z utęsknieniem, jako na okazję do zdobycia wojennej sławy i prawdziwych łupów. Tylko nieliczni z niepokojem zastanawiali się, gdzie w całej tej sytuacji jest haczyk. Nikt jednak nie przewidział, co jest owym haczykiem, aż do momentu, gdy został on ujawniony.

Trzy tygodnie przed wydarzeniami w mieście Aenthil na północnej granicy Wergundii właśnie topniały śniegi. To była wyjątkowo ciepła zima, co oznaczało, że na górskich przełęczach, takich jak Visnohora, w lutym zamiast dwudziestu pięciu stopni poniżej zera było dwa lub trzy, ale nadal nie był to upał. Rzecz w tym, że po raz pierwszy od kilku dziesięcioleci przełęcze nie były zamknięte przez zwały śniegu, śniegu właściwie nie było prawie wcale poza najwyższymi szczytami. Dla większości mieszkańców był to powód do radości, można było wcześniej zacząć obsiewanie pól, po wergundzkiej stronie obchody nadchodzącego wielkimi krokami modwitowego święta mogły oznaczać mniej ofiar kąpieli w lodowatych wodach, a po stronie teralskiej wcześniejszy początek spławu drewna nurtem Wedry.

Nie wszyscy jednak rozumieli, co oznaczają otwarte przełęcze.

W strażnicy wojsk pogranicza na przełęczy Visnohora dowódca oddziału, dekurion Vuel dar Bregen hrabia Kruczej Skały, rozumiał to doskonale. Jego rozmówca rozumiał również, iż hrabia rozumie wszelkie konsekwencje tej chwili.

Rozmówcą tym był Regins, jeden z żołnierzy organizacji.

- Przypomnij sobie swoje przysięgi – powiedział po raz kolejny, próbując przekonać dowódcę – Przypomnij sobie cel, do jakiego dążysz. Przypomnij sobie wszystkie bezskuteczne prośby, jakie zanosieś, wszystkie utracone nadzieje. Przypomnij sobie Weronikę.

- Dość! – Vuel trzasnął o stół kuflem z wodą, reagując w sposób doskonale przewidywalny, na wspomnienie o swojej tragicznie zmarłej żonie zwykle reagował z wściekłością – Nie masz prawa o niej mówić. Pamiętam wszystkie przysięgi, jakie składałem. Jednak wciąż nie wyjaśniłeś mi, dla jakich to wyższych celów mam otworzyć przełęcz dla waszej armii. Mówiąc inaczej, wyjaśnij mi raz jeszcze, jakim sposobem moja zgoda na spustoszenie mojego kraju przez wojowników Dragana ma dopomóc w posłaniu tak zwanych bogów w zasłużony niebyt.

- To nie jest w zakresie rzeczy, które powinieneś wiedzieć – Regins postanowił odsłonić jedną kartę więcej. Był dobrym graczem, potrafił rozgrywać emocje i wątpliwości, to była jedna z dwóch przyczyn, dla których castorowie wysłali właśnie jego – Ale jesteś zasłużonym oficerem w naszych szeregach i wierzę, że twoja mądrość pozwoli ci rozważnie podjąć decyzję. Zdecydowaliśmy się podeprzeć Styrię, kraj, którym rządzi bogini. Jedna bogini. Jest ona w tej chwili osłabiona, bo na to pozwoliliśmy. Umożliwiliśmy Wegundom przeprowadzenie ... czegoś, co uderzyło w Tavar i mocno podpiłowało jej skrzydła. Teraz zaś musimy osłabić Wergundię, pomagając Tavar zniszczyć innych bogów. Lub chociaż ich osłabić.

- Armia wergundzka jest na południu – przerwał hrabia, orientując się, zanim wybrzmiało zdanie, że właśnie sam odpowiedział na własną wątpliwość.

- Tak. Właśnie dlatego armia kniazia Dragana, który jest całkowicie pod naszą kontrolą, uderzy na północ i zmusi tę armię do odwrotu z ziem bogini Tavar. Książę Dragan dopełni swojej małej prywatnej zemsty na Olafie, który go niegdyś upokorzył, zaś przybrany syn Dragana zostanie wychowany przez castorów i zapoczątkuje wielkie zmiany, gdyż jest... jeśli nie imperatorem, to kimś, kogo przeznaczenie jest wielkie. Rozumiesz teraz? Wiem, jest strasznym faktem, że cierpieć będą zwykli ludzie w Wergundii, ale to nie jest nasza wina, to wina bogów, którzy pchają ludzi do wojen dla swoich interesów. Otwórz przełęcz. Ocalisz swoich żołnierzy i wypełnisz przysięgę.

Regins wyciągnął dłoń, ale Vuel cofnął się, znając doskonale techniki skrytobójców organizacji, zdolnych ukryć miniaturowe igły między palcami, by w uścisku dłoni przemycić do organizmu truciznę.

- Nie dotykaj mnie. Wasza rozgrywka jest mętna i nie prowadzi do celu, któremu przysięgałem. Prowadzi do waszej korzyści. Korzyści castorów, którzy rękami Dragana będą rządzić Teralą. Chodzi wam o władzę. Tu i teraz. O władzę, o nic więcej. Dla waszej korzyści i chciwości nie zdradzę swojego kraju.

- Zrozum... – Regins już w tonie oficera wyczuł, że przegrywa.

- Dość! – warknął Wergund – Precz.

- Podpisujesz na siebie wyrok. Miej tego świadomość...

Hrabia zmrużył oczy, kładąc rękę na rękojeści miecza.

- Naprawdę? Naprawdę mi grozisz?

- Nie grożę. Nie ja.

- Najpierw musicie mnie dostać. A to nie jest takie łatwe. Precz.

Vuel odczekał, aż za posłańcem zamknęły się drzwi. Mógł go zabić, ale brzydził się takimi metodami. Poza tym, z organizacją był związany szczerze i cenił własny honor. Jednak sytuacja wymagała od niego zdrady, każda decyzja stanowiła zdradę – organizacji lub własnego narodu. Ciężko usiadł przy stole, dopił zimną jak lód wodę, żałując, że to nie piwo, jednak lada chwila miała rozpocząć się walka, a on, jak każdy szanujący się wojownik, przed walką nie pił. Poświęcił jeszcze kilka chwil na przemyślenie sytuacji. To, co powiedział Regins, nie miało sensu. Rozumiał i popierał całym sercem ideę organizacji, z którą się związał, rozumiał, że muszą być sprytni i rozgrywać sytuację, inaczej szybko skończą na poświęconych bogom szafotach. Ale to była zwykła gierka polityczna. Kupienie sobie rządów w Terali za cenę jego ojczyzny. Nie tak to miało wyglądać.

Mogli się tu bronić choćby rok. Wąska gardziel przełęczony była z jednej strony ograniczona stromymi stokami masywów Morgs, u wylotu zaś zamknięta kamiennym obwałowaniem, jedyna droga prowadziła przez warowną bramę z podwójnym ostrokołem i klasycznym wergundzkim kręgiem ochronnym. Podjął decyzję.

Gdy wyszedł na dziedziniec, dopinając ostatnie paski naramienników, cała kohorta była już w gotowości. Stu pięćdziesięciu wojowników, kuszników, velitów, magów bojowych, dwóch inżynierów, trzy dziesiątki skutiatów, tyluż casasinów w mocnych koleczugach, do tego triari z długimi toporami i czterdziestu hastiatów.

W bramie wciąż stali negocjatorzy z białymi poselskimi flagami.

- Koniec rozmów! – krzyknął jeszcze zanim doszedł do palisady. Zza niej dał się słyszeć szum, charakterystyczny dla dużych grup ludzkich. Pod jego fortalicją musiało stać co najmniej kilka setek ludzi – Nie będzie negocjacji! Nie przejdziecie! Możecie wracać do swoich. To moje ostatnie słowo.

Niespełna piętnaście minut później obserwował z palisady, jak na dźwięk bojowych rogów ruszyli do przodu teralscy wojownicy. Palisada została zasypana gradem strzał z łuków, na wały i bramę uderzyły oddziały walczących. Vuel uśmiechał się pod nosem, patrząc, jak kolejne ataki rozbijają się



jak fale o burtę okrętu. Przyniesiono taran, ale brama chroniona była szczelnym ostrzałem z wieżyczki nad nią, do tego nawet zniszczenie furty nie otworzyłoby wejścia, które wciąż skutecznie mogło być bronione przez uzbrojonych w wielkie migdałowe tarcze skutiatów.

Walka trwała kilka kwadransów. Rzeczywiście, pchnięte skutecznym uderzeniem ogniowego magicznego pocisku pękły belki bramy, ale tarczownicy natychmiast stanęli zwartym szeregiem w wyłomie, gotowi blokować go chociażby własnymi ciałami. Łucznicy z góry szyli równymi salwami i każda fala ataku wiązała się z wielkimi stratami. Dowódca dołączył do swoich ludzi w bezpośredniej walce, wiedział z własnego doświadczenia, że oficer, który dzieli z podopiecznymi ryzyko i ból, ma większe poważanie i posłuch. „Za mną” zamiast „naprzód”, to była wiedza, której nie wynosiło się ze szkół wojskowych, on tę wiedzę zdobywał na warownych placówkach w Gerniden, Mohylenach i ostatnio na Srebrnohorze.

Bitewny harmider przebiły dźwięki teralskich rogów.

- Posłaniec! Posłaniec! – krzyknięto z zewnątrz wałów. Hrabia uniósł rękę, wstrzymując w gotowości swoich strzelców i wyszedł przed na wpół spaloną bramę, czekając. Za nim stanęli gotowi do obrony dowódcy wergundzcy wojownicy.

W poselstwie Vuel dostrzegł kolejną znajomą twarz.

- Witaj, olbrzymie. Więc i ty tutaj.

- Nic w tym chyba dziwnego, nie? – uśmiechnął się Goliat, stojący na czele poselskiej trójki, w której każdego przewyższał wzrostem o głowę i w szerokości barów o pół obwodu – Ważne rzeczy się dzieją, to i jestem.

- Jasne. Przysłał cię tu, żebyś mnie namówił do kapitulacji?

- Rzecz jasna. I mieli rację. Źle robisz, bracie, mówię ci to z serca. Żał im takiego kogoś jak ty, żał tracić takiego człowieka – odparł olbrzymi wojownik, patrząc spod jasnych, splątanych wiatrem włosów – To naprawdę jest konieczne dla naszego celu.

Hrabia westchnął ze zniecierpliwieniem.

- Goliacie, zawsze jesteś u mnie mile widzianym gościem, o każdej innej porze chętnie wypiję z tobą kufel lub dwa, choćby przez wzgląd na wspólnie przeżyte opresje. Ale teraz, jeśli nie masz mi nic do powiedzenia poza tym, bym zdradził swój kraj, to wybacz, ale odejść.

Goliat opuścił głowę jak ktoś zrezygnowany. Uśmiechnął się smutno i Vuel odruchowo przysłonił się tarczą, szukając wzrokiem snajperów. Ale żaden strzał nie padł.

- Masz dziesięć sekund na zmianę decyzji – powiedział niespodziewanie mocnym głosem olbrzym.

- Idź do diabła – odparł odruchowo Vuel i odwrócił się na pięcie, chowając się za podwójnym murem tarcz swoich skutiatów. Po chwili zorientował się, że podświadomie liczy sekundy. Zdjął rękawicę i otarł spocone czoło, bo pot spływał mu na oczy. Oczy zaszczypały. Ale co mogli mu zrobić, był osłonięty od strzałów, opancerzony i bezpieczny. „Siedem, osiem, dziewięć...”

- Słusznie zrobiłeś, panie – dobiegł go głos jednego z żołnierzy. „Jak mnie dotknie, zabiję go” pomyślał w nerwach oficer. Żołnierz nie dotknął go, przeszedł obok salutując, ale zatrzymał się – Panie, ten ślad na twoim czole, niebieski...

Vuel nie słyszał reszty. Padając błyskiem myśli zrozumiał. Była w rękawicy, zareagowała z potem na czole i dostała się do oczu, więc trucizna musiała być już we krwi. W wodzie, którą wypił przed walką. Trzeba było wypić gorzałkę. Ale co by na to powiedziała Weronika... Tak poległ dekurion Vuel dar Bregen hrabia Kruczej Skały. Umierając, uśmiechał się jak do kogoś bliskiego.

Jego zastępca poddał przełęcz w przeciągu najbliższej godziny. Terałska armia uderzyła na północne prowincje Wergundii, siejąc zniszczenie i postrach. I zmuszając tymeny z południa do odwrotu z Aenthil.

Aerlinn nie wiedziała, dlaczego najemniczka miała ją rozumieć, do czasu kiedy pozostali jej tego nie wyjaśnili. Sytuacja była następująca – wergundzka armia wycofywała się na północ w wielkim pośpiechu, bynajmniej nie pod naciskiem napierających oddziałów styryjskich, w których szeregach wróciły do walki ulundo. Robiła to, bo północ kraju pustoszyły watahy teralskie, których nikt nie był w stanie powstrzymać. Teoretycznie na północy Wergundia miała sojuszników w postaci Fiordu i Tryntu, na wschodzie zaś przychylny był związek Małego Ofiru. Jednak każdy władca w pierwszej kolejności chronić musi swoich. Księżna Sigrdine Tryntyjska wypełniając zobowiązanie sojusznicze uderzyła na Terałę, ale zmuszona była do wycofania się, bo Styria spuściła ze smyczy innego ze swoich sojuszników, Samnię. Arbany koczowników wdarły się na płaskowyże tryntyjskie z ogniem i mieczem, blokując sojuszników Wergundii skutecznie i bezwzględnie. Podobnie działo się na pograniczu arethyńskim, miała tam miejsce lustrzana sytuacja. Itharos uderzyło zza Linii Fortec, zderzając się co prawda z częścią zielonego tymenu, ale sojuszniczy Mały Ofir zamiast uderzyć na Itharos, zmuszony został do obrony przez idącymi u podnóża gór hordami.

Te wszystkie wieści docierały do walczących w Aenthil szeroką falą, choć dowództwo starało się te informacje blokować, to docierały one falą od okopów styryjskich, niszcząc morale żołnierzy. Gdy gruchnęło o tym, że teralscy łucznicy ostrzeliwiają obrońców Akwirgranu, w szeregach czerwonego i białego tymenu blisko było paniki. Sztab natychmiast wymienił oddziały frontowe, czerwony tymen natychmiast wycofano z południa, biały skierowano do osłony linii zaopatrzenia na wschodnim froncie. Było oczywiste, że do obrony wschodu potrzebne będzie wycofanie zielonego, a czarny konieczny będzie by osłonić północ przed Terałą i Samnią. Bury nie był w stanie utrzymać Aenthil sam. Sztab zdecydował się utrzymać bury tymen na samym końcu, do osłony odwrotu, jako najszybciej przemieszczający się był on w stanie dołączyć w wyznaczone miejsce najszybciej.

Tyle wiedzieli żołnierze i tyle zdążyli opowiedzieć elfiej uzdrowicielce. Spędzili noc w ruinach, o których Aerlinn zdążyła opowiedzieć im dziesiątki historii. To był pałac Neitherielin, wiązały się z nim legendy i historie, zawierano w nim sojusze, zabijano, pobierano się. Zanim świt ozłocił nieprzyjazne ruiny i rozwalone bramy do ogrodów, wszystkie te opowieści wybrzmiały, ucichły i zostały zapomniane. Oni opowiedzieli jej o tym, że wszyscy są tu z własnej woli, a nie z rozkazu. Ingeboran, bo tak miała na imię kwintylion, zdecydowała, że zostanie, bo miała tu swoje porachunki. Dała im wszystkim wolny wybór, wszystkim z całej kwintyli, którą dowodziła. Została ponad setka ludzi, z szacunku do niej, ale i z szacunku do własnej profesji. Za ich plecami wycofywały się ostatnie oddziały wergundzkie, cywile, zwłaszcza elficy, którzy jak Aerlinn do ostatnich chwil nie chcieli opuszczać dopiero co odzyskanych domów.

- Taka praca, pani elfko – uśmiechnął się Duncan, ciemnowłosy najemnik z widoczną, biegnącą od lewej skroni do brody blizną, którą jak się pochwalił, zdobył w Terałi, pod Srebrnohorą – My jesteście dwudziesta druga kohorta kondotierska burego tymenu. Za to bierzemy zapłatę, by iść i walczyć, a

niech mi pani wierzy, tanio nie sprzedajemy swojego życia. Ale skorośmy już je sprzedali, to ono już nie nasze. Niechże je bogowie biorą. Ale i paru nibyludołaków ze sobą zabiorę, jak nic.

- Zresztą, wiesz – dorzucił Divakar – Taki jakoś nam się zdarzył los. Tak naprawdę mieliśmy umrzeć kilka miesięcy temu. Serio. To, że przeżyliśmy, choć nie wszyscy, to był jakiś cud, albo przypadek. Ingeboran straciła prawą dłoń. Duncan urodę, chociaż i tak zawsze był brzydki – uchylił się przed kamykiem, rzuconym przez towarzysza - Więc teraz i tak nasze życie już nie nasze. Bogowie nas ocalili, po coś. Może po to, żebyśmy tu teraz zrobili co trzeba...

Świtało.

Siedzieli bez ognisk w szarzejącej mgłę, drżąc z zimna i po cichu licząc na to, że wreszcie się zacznie.

Zaczęło się krótkim dźwiękiem trąbki. Duncan wychylił się z za załomu.

- Biała flaga, pani auxilion! – rzucił półgłosem do Ingeboran, Aerlinn uśmiechnęła się, słysząc, jak pomylił rangę – Pośly!

Krasnoludka wskoczyła na obsypany mur i usiadła na nim, ostentacyjnie lekceważąc możliwość ostrzału. Do prawej ręki wciąż miała zamocowaną tarczę.

- Oficer! Poselstwo! – zakrzyknięto z dołu – Nie strzelać!

- Nie strzelamy – odpowiedziała Ingeboren – Słucham.

- Mówię w imieniu hetmanów Nowej Styrii. Nie chcemy tu rzezi i krwi, chcemy tylko odzyskać swoje miasto – za kamiennym wałem Duncan i Divakar w ostatniej chwili powstrzymali Aerlinn przed sięgnięciem po łuk – Damy wam godzinę na wycofanie się. Z bronią i honorami.

- We wschodniej dzielnicy też daliście. A potem dogoniliście wycofujących się i jednak była rzeź i krew, więc coś kręcisz, ulundo.

- Nie będę się tłumaczyć z nie swojej winy. To oni zaatakowali, elfy.

- Jasne. Nie.

- Co „nie”?

- Nie wycofam się.

- Masz tylko stu dwudziestu ludzi.

- Ty masz, jak oceniam, cztery tysiące. I co?

- Zginiecie co do jednego.

- Może. Ale was zginie połowa.

Zapadła cisza, sygnalizująca, że poselstwo wycofało się. Po chwili Ingeboren zeskoczyła z krawędzi muru.

- Panowie, mamy jakieś dziesięć minut. Na stanowiska.

Rzeczywiście, nie trwało to dłużej. Tarczownicy i łucznicy zamknęli wyłom w murze, sprawnie uzupełniając się nawzajem. Magowie rozłożyli osłony. Gdy pierwsze pociski rozprysnęły się o magiczne bariery, bitwa rozgorzała na dobre.

Już po godzinie Aerlinn przekonała się, że krasnoludka nie przesadziła zauda, oceniając szanse swojego oddziału. Najemnicy dokonywali cudów męstwa i sztuki wojennej, raz po raz robiąc krótkie wypadki za mur, kiedy sprawnym atakiem zaskakiwali szykujące się do szturmowania oddziały. Na wale za tarczami sprawnie zmieniali się walczący, rannych odciągano do tyłu, na ich miejsce wchodziłi nowi. Miejsce było idealne do obrony. Z obu stron ograniczone budynkami, których obejście wymagało zejścia poniżej śródmiejskich murów, a z drugiej strony – przejścia przez kolejne barykady. Kwintylion postanowiła trzymać ten wał dopóki była taka możliwość, potem cofać się przez kolejne poziomy podcieni aż do pałacu. W pałacu była możliwość obrony przez kolejne kilka godzin. Byle wytrzymać do wieczora. Do tego czasu kolumna cywilów powinna być już na terenie poza miastem, kontrolowanym przez konne kohorty burego. Pod osłoną nocy można było puścić ludzi w rozsypkę i wydostać się z miasta.

Było już dobrze po południu. Styryjskie komando, które przebiło się przez blokadę poniżej pałacowych kuchni, przebiegło piwnicami aż do wału, bronionego przez 22 kohortę. Liczyli na to, że wypadną na plecy nielicznym już i bardzo zmęczonym obrońcom wału. Biegający na ich czele Akon bardzo na to liczył. Wyjście z piwnic na plac przy wałach prowadziło przez obszerny hol, wyłożony marmurem. Przebiegli przez niego, trzymając się ściany i wypadli na schody. Na placu nie było nikogo. Akon był doświadczonym najemnikiem i zrozumiał pułapkę zanim usłyszał komendę i świst strzał. Styryjczycy na wałach już wdzielali się na plac, ale wiedział, że nie zdążą. I że on też nie zdąży. Liczył na to, że zakończy dawne porachunki z 22 KKBT i że zrobi to znowu na własnych warunkach. Że naprawi błąd, jaki zrobił w teralskich górach i wreszcie pozbędzie się tego wrażenia, że śmierć depcze mu po piętach.

- Dzień dobry, Styryjczyku – gdy usłyszał ten głos, zrozumiał, że mu się to nie uda. Obrońcy wału wiedząc, że dłużej się nie utrzymają, postanowili cofnąć się w podcienie budynku, a widząc upadek barykad po swojej zachodniej stronie – przyczaili się na nadchodzących przeciwników, jako że nic lepszego już zrobić nie mogli. Komando Akona i idące za nim kolejne oddziały odcinały im drogę ucieczki.

- Należało zabić cię wtedy, Ingeboran Jednoręka – zakpił z rozmysłem, licząc na to, że ją zirytuje. Prawdopodobnie mu się to udało, bo zamiast słów odpowiedzią był pospieszny grad ciosów. Akon miał tylko miecz, a krasnoludka lewą ręką władała znacząco gorzej niż prawą, i chociaż wciąż był to miecz przeciw toporowi i dynamicznej, małej tarczy, to Akon wyraźnie kontrolował starcie. Cofał się z rozmysłem krok za krokiem, zmuszając ją do mocnych wypadów, które kontrował. Wszystkie kontry zablokowała, ale z trudem. Akon cofał się dalej, aż za plecami wyczuł obecność. Spojrzał przez ramię. W półmroku holu twarze wydały się znajome, ale nie był pewien. Za to był pewien, że nikt z jego komanda nie przeżył. Styryjscy wojownicy nadchodzący od wału byli już na schodach. Zabrakło może z dziesięciu sekund. Cios kończącej zakończoną krawędzi tarczy w krtań pozbawił go oddechu i odrzucił na stojących za jego plecami najemników. Zatoczył się, uniknął topora i wyprowadził nisko idące cięcie na lewe udo aż do biodra, u osoby walczącej normalnie wchodzącej pod tarczę. Przeciwnik nie walczył normalnie, cios rozciął tylko częściowo mięśnie uda. Ingeboran odskoczyła i na chwilę zatrzymała się, widać było, że próbuje panować nad wściekłością, która odbierała rozsądek i celność jej ciosom. Akonowi zabrakło kilku chwil, by rozpracować do końca sposób walki i ze śmiertelną celnością wypunktować błędy. Nie miał kilku chwil. Desperacki cios sięgnął co prawda krasnoludkę na wysokości obojczyka, ale on sam też się odsłonił, co ona natychmiast wykorzystała. Absolutnie

nierozsądnie. Równoczesne uderzenie tarczy i topora zmyliło go, uderzył od dołu, trafił śmiertelnym, pewnym cięciem przez żebra. Ale ciosu krasnoludzkiego topora nie mógł wytrzymać.

Miasto płonęło. Trzeszczało od magii i zgrzytało walącymi się budynkami. Aerlinn biegła pod murami, starając się nadążyć za najemnikami, kluczącymi wśród uliczek i kryjącymi się przed ostrzałem. Gdy wypadli na plac Riavannen, trafili prosto na spory oddział ludzi, dowodzony przez skalnych ulundo. Pod gradem kamieni wycofali się w uliczki, poszli w rozsypkę. Uzdrowicielka, trafiona w żebra sporym odłamkiem, plując krwią zbiegła z wału poniżej placu do strumienia, stanowiącego chwilowo ściek mieszaniny krwi i błota. W ciemności potknęła się i chyba straciła przytomność. Nie była pewna. Może to był jakiegoś rodzaju letarg. W każdym razie zrobiło się jasno, cicho, a ona siedziała nad strumieniem Riavannen, wśród kwitnących na karminowo rododendronów i śpiewała.

- Aerlinn!!! – głos nie był w stanie jej obudzić, ale po chwili poczuła mocne uderzenie w twarz – Aerlinn!! Cicho!!

Cisza pękła. W huku, wrzasku i zgrzycie jej oczom ukazała się dawno nie widziana twarz, zwykle okolona burzą złoto-rudych loków, teraz przykrytych ciasno zawiązaną chustą.

- Onfis...

- Ocknij się. Trzeba uciekać. Nasi są już na szlaku do Yvelen. Ewakuowałem wszystkich, których zdążyłem, twój szpital też. Gdzie do licha się podziewałaś? Czemu musiałem po ciebie wracać?

- Onfis...

- Oprzytomniej! Uciekamy.

- Nigdzie nie idę – elfka podniosła zupełnie przytomny wzrok na towarzysza – To jest mój dom. Powiedz mi, Onfisie, zwierzchniku kasty Lomin. Dlaczego nie bronimy swojego domu? Powiedz mi, dlaczego za nasz dom umierają najemnicy innych ras, dlaczego ginęli tam dzisiaj cały dzień, a nas tam nie było? Gdzie są otath, gdzie nasi lutha i ich złote łuki? Dlaczego nie walczymy??!! – ostatnie zdanie niemal wykrzyczała mu w twarz. Onfis usiadł ciężko na spalonej trawie. Zanim zebrał się na odpowiedź, pomilczał chwilę w zamyśleniu.

- Walka o Aenthil byłaby końcem wszystkiego.

- Utrata Aenthil ponownie jest końcem wszystkiego...

- Nie jest – zwiadowca podniósł wzrok gdzieś ponad korony parkowych drzew – Mamy szansę odbudować wszystko, ale musimy zmienić kierunek. Nie możemy uparcie i samobójczo uderzać na wroga tam, gdzie jest najsilniejszy.

Aerlinn spojrzała na niego z wyczekiwaniem.

- Przez ostatnie tygodnie przeszukiwałem archiwa i mapy. Jest ktoś, kto dał mi nadzieję – zdania nie chciały się sprawnie sformułować – Żeby uderzyć na Styrię i odzyskać Aenthil, potrzebujemy armii, własnej, oddanej sprawie, wyszkolonej. Do tego potrzebujemy ludzi, czasu, pieniędzy. A żyjemy na skrawku ziemi, który nie jest w stanie nas utrzymać, nasi ludzie umierają od chorób, bo jest nas za

dużo na tym spłachetku, tracimy nasze zdolności, związek z ziemią. Żyjemy z jałmużny naszych przyjaciół.

- Onfis, braciszku, oddaliśmy Aenthil, jak inaczej mielibyśmy żyć...

- Nie. Posłuchaj, na południu jest ład... Mówię ci to, bo wiem doskonale, że wywiady od dawna o tym wiedzą, jestem pewien, że mam zdrajców w szeregach, wiem, że natychmiast zorientują się, jakie papiery wyniosłem z ich przejętych skrytoriów. Na południu jest ład bogaty w... skarby ziemi – spojrzaj na nią bardzo poważnie – To jest nasza szansa, by odbudować siłę Aenthil, prawdziwą. Jest jeszcze pewien człowiek, jeden z naszych, ma wielkie wpływy, pieniądze, ambicję i statki. I małżonkę w Talsoi. To jest wielki plan, siostrzyczko. Uderzyć w miękkie podbrzusze bestii. Jednocześnie ratować to, co mamy. Do tego potrzebuję naszych ludzi... żywych. I ciebie. Chodźmy, proszę. Tamte ulundo zaraz tu będą.

Aerlinn umilkła. Bez protestu podążyła za nim, rozważając w myślach jego słowa. Były rozważne. Były szczerze, wiedziała to, znała swojego przybranego brata na wylot. Gdy wybiegali z parku przy placu, stara wierzba płacząca zahaczyła miękką witką o jej włosy. Miasto żegnało ją. Prawdopodobnie na zawsze.

Gdy dopadli do oddziałów wergundzkich, dowódca kohorty natychmiast odesłał ich na tyły. Aerlinn miała połamane żebra i pluła krwią. Na tyłach stanowiska ogniowego był utworzony prowizoryczny lazaret, zresztą na bieżąc sanitariusze odnosili rannych na wozy, które wypełnione odjeżdżały na północ, gdzie przy szlaku był tworzony duży szpital polowy. Aerlinn położono na jednym z takich wozów wraz z kilkoma innymi rannymi. Wraz z nimi wskoczyła sanitariuszka, uzdrowicielka, opiekująca się rannymi. Gdy zobaczyła, że elfka jest przytomna, uśmiechnęła się do niej i poczęstowała księżycówką z manierki.

- Słyszałam, że byłaś przy wałach – zagadnęła, nie przerywając zmiany opatrunku jednego z rannych. Elfka potwierdziła skinieniem – Broniła go dwudziesta druga kondotierska, zdołali się wycofać?

- Nie – odpowiedziała cicho Aerlinn – Wszyscy polegli, dowódca też. Widziałam na własne oczy - sanitariuszka na chwilę umilkła, widocznie zasmucona, więc elfka zainteresowała się – Znałaś ich, pani?

- Znałam – smutno uśmiechnęła się kobieta – Większość, zwłaszcza dowódcę. Mam nadzieję, że chociaż znalazła swoją zemstę...

- Chodziło o tego długowłosego szermierza...? Znalazła.

- Ech... – westchnęła sanitariuszka po chwili milczenia – Wielu dobrych ludzi zabiera ta wojna. A ty, pani? Opowiedz mi o sobie. Ale wybacz, powinnam się przedstawić. Jestem uzdrowicielką przy armii wergundzkiej, Lylian dar Duan, mówią na mnie Powój.

### CZEŚĆ III

3 września

Udało się. Wreszcie mogę to pełną gębą powiedzieć, w końcu się udało. Długo wahała się sprawa, czy będzie dla mnie miejsce przy wiosłach, a przecież niedługo skończy się czas otwartego morza i trzeba by było odłożyć wszystko na przyszłą wiosnę. Nie wiem, jak bym przeżyła kolejną zimę. Po tym, jak trzy lata temu najazd samnijski spustoszył Trynt i Liryzję, wciąż panuje głód. Z trudem się wszystko odbudowuje. Wszystko cały czas w stanie wojny. Jak gra w domino, ruszy się jeden klocek i zaraz idą pozostałe. A my na końcu tego wszystkiego. Fjellbergen jest skalisty, jeśli nie ma dostaw zboża, to w lecie pola mało co rodzą, mało paszy, mało wszystkiego. Mamą zaopiekuje się wuj Bjarki, obiecała, że zamieszka u niego. Dom wymaga remontu, więc u nas najlepiej niech nie mieszka.

Martwię się o nią.

24 września

Myślę, że wrócę z za-południa z tyle złotem, żeby kupić własną knarę. Patrzyłam dzisiaj na okręty w Birce. Są piękne. Podobno dużo ludzi wróciło już z za-południa z wielkimi fortunami.

Jak będę miała własny statek, to zajmę się handlem zbożem z Wergundią. I połowem, będzie można wypływać dalej od brzegu niż na moim orzeszku. I kupię mamie taki wspaniały diadem, jak noszą żony kupców w Birce. Przecudny, z muślinowym zawojem i zwisami z pereł.

2 października

Idziemy blisko brzegów. Przez chwilę flankowała nas wergundzka triera, ale teraz stary za bardzo obawia się natrafienia na styryjskie harcownicy, więc nie wychodzi w pełne morze. Kilkakrotnie mijaliśmy szczątki okrętów, zniszczonych przez Styryjczyków, nie zamierzamy podzielić ich losu.

10 października

Minęliśmy wody Talsoi, elfki przepuściły nas, tylko raz była kontrola i weszły nam na pokład. Bardzo ładne te elfki. Takie sprężyste i energiczne dziewczyny, wszystkie przy broni. Rękawice takie z długim mankietem noszą. Wygodne, też takie sobie sprawię.

Zawinęliśmy dwa dni temu do portu w Talsoi, zabrać słodkiej wody. O rany jak tam ślicznie. Nawet teraz, zimno jest i deszcz, a tam tak biało, te budowle przy brzegu śliczne, jak namalowane, smukłe takie, kolumnady, wychodzące w morze mola, wszystko filigranowe, ażurowane. Piękne. Ale port też broniony tak, że nie podejdziesz pod brzeg. Nie dziw, że nasze langskipy nigdy nie próbowały nawet. Żeby wpłynąć, to trzeba minąć wysepkę ze strażnicą, cała zatoka wałem zamknięta, że nie podejdziesz.

Ale na nas z Fiordu patrzą wilkiem. Bo i dziwne czasy, tak wojna to poukładała, że elfy nam się sojusznikami stały, bo ze Styrią mają kosę.

14 października

Odparliśmy dwa ataki, a reszcie umknęliśmy w pełne morze. Weszliśmy w strefę styryjską i skończyły się żarty.

16 października

Nie było wesoło. Kilku naszych zginęło, pogrzeby zrobiliśmy w morzu. Jak tylko styryjski okręt zoczy, to uciekamy w morze, a to niełatwe, bo późna pora już i zimowe szkwały się zaczęły. Ale kilka dni zostało i schodzimy do zatoki Draigern. Tam bezpieczniej, tam obstawione naszymi okrętami i styryjskie się nie zapuszczają.

24 października

Minęliśmy Smocze Kły, to takie wielgaśne klify u wejścia do zatoki. Imponujące, jak pomniki jakieś.

26 października

Port Vekowar. Nareszcie.

Inny to zupełnie port niż Birka, bardziej przypomina nasze porty na Fiordzie. Nasz langskip zabiera stąd ładunek do Birki i wraca za dwa dni, żeby zdążyć przed końcem listopada. Ja zostaję.

Bardzo tu chaotycznie. Mnóstwo ludzi, z których każdy wygląda podejrzanie. Są jacyś stróże prawa, ale trudno rozpoznać. Port jest w większości wergundzki, ale wiele do powiedzenia mają elfy z Talsoi, które zarządzają tu dużą częścią wybrzeża. Często wybuchają różne konflikty. Wiele w ogóle tu elfów, nie tylko tych morskich, bo widziałam też mnóstwo takich z uszami w szpic, jasnowłosych. Przypływają tu z Hetanoru.

Wiele też innych narodowości, jest trochę naszych, wielu z Liryzji i Tryntu, Wergundów najwięcej, wiadomo. I najpewniej się noszą. Styryjczyków niewielu, bo na nich wilkiem tu patrzą, jakby każdy miał być szpiegiem.

Szukam miejsca, gdzie się zaczepić. Trochę pracowałam w tawernie „Czerwony Koń”, ale to podłe miejsce. Trochę poluję i sprzedaję futra. Stawki jak na fiordyjskie realia – niesamowite, ale też tutaj każą sobie płacić. Chleb kosztuje 3 biry zamiast 3 miedziaki. Nocleg – 50 birów. Fakt, że w tawernie płacili 100 birów za dzień, więc coś tam już zbierałam.

3 listopada.

Znalazłam kogoś, kto zbiera najemników do wyprawy na wschód. To podobno kolejna już ekspedycja. Planują założyć najbardziej wysuniętą placówkę wydobywania. Szukają górników, ale z moimi zdolnościami do łuku zaproponowali mi pracę przy ochronie i jako myśliwego. Jak mi powiedzieli, za jaką stawkę, to myślałam, że kpią. Ale to poważnie było więc idę z nimi i mogę się dać zjeść za taką stawkę.



10 listopada

Ruszyliśmy na wschód. Idziemy w kierunku masywu górskiego, gdzie podobno są dobre warunki do wydobywania. Marsz dość monotony, wieziemy trochę dobytku na wozach.

13 listopada.

Widziałam człowieka. Takiego, jakiego nigdy jeszcze nie widziałam, to chyba jeden z tutejszych mieszkańców. Miał dziwne ozdoby i zupełnie nie rozumiałam, co mówi. Odszedł sam, a już się bałam, że będę musiała strzelać...

17 listopada

Cały czas mam wrażenie, że ktoś nas obserwuje. Czasem w nocy słychać bębny. To trochę niepokojące.

Na południe od nas podobno są bagna. Nikt tam nie jest w stanie przeżyć. W górach, tam gdzie idziemy, urzędują już Wergundowie, ale podobno idziemy dalej niż oni.

20 listopada.

Weszliśmy w góry. Kraina podobno nazywa się Sowiogórze i jest zadziwiająca. Spodziewałam się zupełnie dzikich miejsc, nietkniętych ludzką stopą. Tymczasem tu jest mnóstwo ruin. Oprócz jednej bitej drogi, którą zrobili Wergundowie, trafiliśmy na trochę szerszych dróg i ścieżek, które bez wątpienia ktoś utwardzał.

25 listopada

Podczas spaceru znalazłam jakieś ruiny. Całkiem spore. Stare chyba, porośnięte mchem. Ciągłe za to nie spotykamy ludzi. Czasem ich widzimy, między drzewami albo w pewnej odległości, jakby obserwowali.

30 listopada.

Po dłuższych poszukiwaniach lokalizacja osady została ustalona. To ładne miejsce, na południowym stoku. Powyżej nas też są jakieś ruiny, ale wczoraj zginął jeden z naszych, gdy próbował tam wejść. Pewnie zrobimy tam jakąś wyprawę, mamy wśród nas ekspertów od artefaktów i od pułapek, to nas przeprowadzą...

4 grudnia

Zaczęliśmy budowę kilka dni temu. Już mam odciski na rękach od siekiery i ośnika. Jestem wykończona. Okazało się, że plany z budową są całkiem poważne. Nasza wyprawa ma spore fundusze. Dowiedziałam się w jednej z rozmów przy kuflu, że Krevain, nasz dowódca, jest Styryjczykiem, ale wszyscy go bardzo szanują. Jest jednym z pierwszych, którzy tu przyплыnęli, na pierwszym okręcie. Budował port w Vekawarze. To bardzo sprawiedliwy człowiek, budzi respekt i ma wielki autorytet. Uczył mnie pewnych technik strzeleckich, w ogóle dużo wie o walce. Ale każdemu pomaga, jak trzeba, jest szefem, a sam nosi z wszystkimi i pracuje jak inni. Podobnie zresztą Loreniss. Ona jest żeglarzem, podobno była kapitanem „Miliavy”, pierwszego okrętu, który wplynął w zatokę. Też jest bardzo otwarta, wczoraj opowiadała mi o początkach portu i handlu tym, co wydobydą z ziemi. Magiczną nazwę minerału wymieniają z rzadka, nie wiem czemu. Zawsze mówią „minerał”. Gdyby nie Loreniss, trudno by było. Ona jest świetnym organizatorem, zarządza wszystkim, porządkuje.

10 grudnia

Stoi już część palisady i pierwsze domki. Ośnik śni mi się po nocach. Na szczęście Mistrei mi trochę pomaga, zna się całkiem nieźle na tej drwalsko-ciesielskiej robocie. Zaprzyjaźniliśmy się. W ogóle większość tutaj to dobrzy ludzie, jak i ja przyjechali by jakoś się odbić od dna. Jest też z nami kilku elfów, a ostatnio dołączyło nawet dwoje Laro. Milczący jacyś, ale oni tak zawsze. Lubię ich.

12 grudnia

Zgłosiłam się do patrolu poszukiwaczy, bo nie dają już rady. Okolica jest niesamowita. Dużo tu ruin. Nawet większość dróg wygląda, jakby ktoś je utwardzał, ale nie mam pojęcia kto miałby to być, bo tu niemal nikogo się nie spotyka.

16 grudnia

Spadł śnieg! To jest jakieś zadziwiające, na północy kolejne ciepłe zimy bez śniegu, a tutaj pada. To pewnie dlatego, żebyśmy mogli upaplać się w błocie i żeby zamarzły nam dłonie na ośnikach. Noszenie żerdzi i ich obróbka w śniegu to nic miłego. Zresztą, taki śnieg to do bani. Mokry, grząski, tylko błoto robi.

20 grudnia

Stoją już domki mieszkalne, w halli biesiadnej mamy tylko ściany, dach powstanie po zimowych świątkach. Dziwnie tak na obczyźnie. Jak tu obchodzić Iul, skoro ani jodeł, ani ostrokrzewu. Zrobiliśmy wieńce z dębu i jarzębiny. Też ładne. Poprowadziłam myśliwych i na uroczystą wieczerzę będzie sarnina. Dostałam pochwałę od Krevaina.

Po śniegu na szczęście ani śladu

3 stycznia.

Było trochę nerwowo. Zaraz po święcie poszukiwacze poszli w teren i dwóch nie wróciło. Wciąż nie wiemy czemu. Zaczęły odzywać się te bębny, okropne są. Dudnią nam non stop czasem całą noc.

Dwa dni temu ktoś był pod bramą. Byłam na warcie. Widziałam na pewno. Nic nie mówił. Ludzka postać, tak z grubsza.

8 stycznia.

Zaginęło czterech poszukiwaczy. Operowali w zupełnie różnych miejscach, zbierali informacje o przebiegach żył minerału, prowadzi się do tego specjalne zadania. Jeden z zaginionych, Frisco, pokazał mi, jak się to robi. Można określić, ile minerału, jak głęboko, jak biegnie żyła i jaką ma gęstość. Świetna sprawa. Pierwsze wydobywania już zaczęli, podobno pierwszy transport ma iść za kilka dni.

10 stycznia

Dalej pracuję jako myśliwy. Śniegu już dawno nie ma, zresztą leżał tylko dzień. Ci, którzy są tu dłużej, mówią, że w poprzednich latach w ogóle go nie było. Zwierzyny w lasach jest sporo, zwłaszcza płowej, saren od groma, są i jelenie, i owce górskie czyli muflony, widziałam też ślady drapieżników, wilków, dużych lisów, i trochę takich, jakich nie znam. Zaczęłam je rysować, może jak spotkam zwierzę, to też narysuję. Może być jakieś nieznanne. Może nazwą je moim imieniem?

15 stycznia

Pierwszy transport odjechał na południe. Wszystkim pracującym w osadzie dopisano premię za to, nie wypłacają jej nam w gotówce, bo tu i tak niepotrzebna, ale dostajemy weksle bankowe. Krevain i Loreniss trzymają wszystko twardą ręką. Dużo tu ludzi dołącza, różnych, ale wszyscy się muszą dostosowywać. Nie ma tu polityki, nie ma znaczenia, kim jesteś i z której strony frontu pochodzisz, jeśli chcesz tu zostać, masz płacić składkę i wybrać funkcję do pracy. Darmozjadów nie przyjmują. Można służyć w ochronie, można uczestniczyć w poszukiwaniach i wydobywaniu, można jak ja polować, gotować, budować.

Budowa nadal trwa, co kilka dni ląduję przy zniechęconym ośniku, jak każdy w osadzie. Chcesz jeść – masz pracować. Słuszne, ale ośnika nienawidzę.

20 stycznia

Widziałam dzisiaj zupełnie obce zwierzę. Bardzo dziwne, ni to pies duży, ni wilk, przypomina nieco bardzo dużego rosomaka. Jeśli jest podobnie zażarte, to lepiej go unikać.

5 lutego

Idzie kolejny transport. Mamy część palisady i płotu faszynowego. Halla biesiadna ma dach. W okolicy jest masa łupanych płyt kamiennych, Krevain zarządził zbieranie tego, użyjemy jako budulca. Ładne nawet, takie kremowe.

W transporcie przyjechały materace do spania i trochę towarów. Wyjechał kolejny ładunek. Na koncie przybyła premia.

Frisco wytłumaczył mi czemu nie używa się nazwy minerału. Bo taki przesąd jest, nie mówić, bo go płoszysz, ha ha.

28 lutego

Widziałam dzisiaj awanturę, przyjechał ktoś z Wergundii, żądać, żeby osada podporządkowała się zwierzchności Wergundii. W sąsiedniej dolinie powstaje duża osada wergundzka i chcieli tu chyba jakiś kraj założyć. Krevain ich wyrzucił. Nie dlatego, że jest ze Styrii, sam mówi, że Styryjczyków też by wyrzucił. Osada nie może należeć do jednej nacji.

5 marca

Własną osadę w pobliżu mają chyba też elfy, ale mocno się z tym kryją. Jednak co kilka dni przyjeżdżają po towary.

15 marca

Jutro planowana jest wyprawa w ruiny. Bardzo ich jestem ciekawa. Idzie z nami Mistrei, a do tego Krevain i Loreniss. Super! To niesamowity zaszczyt iść z nimi w teren. Oboje są legendą. Bez nich osada by nie istniała. Ciekawe co znajdziemy w tych ruinach, może to zwierzę, co widziałam wcześniej. Może to głupio, ale chciałabym, żeby to był skarb. Mam już sporo na tym koncie w Birce, ale mogłoby być więcej. Jak znajdę skarb, wyślę wszystko mamie. Jak nie znajdę, to też wyślę. Idę wcześniej spać dzisiaj, bo wychodzimy wcześniej rano....

\*\*\*

Loreniss rzadko płakała i właściwie czasem sądziła, że już nie potrafi. Potrafiła. Wypiła haustem kolejny łyk z butelki i załkała, opierając czoło o słup, wspierający blanki palisady. Usłyszała, jak Krevain podszedł, ale nie chciało się jej udawać przed nim.

- Trzymaj się jakoś, chociaż ty – powiedział, siadając obok i zabierając jej z ręki butelkę laryjskiej tariji. Nie odpowiedziała, płakała, patrząc w nieprzenikloną, czarną ścianę lasu – Nie mogłaś nic zrobić.

- Mogłam – odpowiedziała pewnym głosem, jakby była przygotowana na tę kwestię – Mogłam nie brać jej ze sobą, to był prawie dzieciak, siedemnaście lat. Po co ją brałam w te ruiny... A pod bramą. Mogłam wybiec szybciej...

- Wszyscy mogliśmy...

- Mogłam ją wcześniej zobaczyć...- głos Loreniss się załamała, nerwowym gestem zdjęła z czoła zieloną chustę, którą zawsze nosiła – Mogłam biec za nią, zamiast się wycofać... Mogłam...!!!!

- Daj spokój. Wiesz, że to nieprawda. Nie mogłaś. Nie było śladów. Ledwie zdążyliśmy się wycofać... Nawet nie wiemy, co nas zaatakowało, czym jest to coś. Za bramą jesteśmy bezbronni. Przestań sobie wyrzucać to, czemu nie mogłaś zapobiec. To była twarda, fiordyjska dziewczucha. Poległa. Nie pierwsza, nie ostatnia.

Loreniss zabrała mu butelkę i wychyliła kolejnych kilka łyków. Była znana z bardzo mocnej głowy, charakterystycznej dla żeglarzy. Pomilczeli przez chwilę.

- Jutro wysyłam kolejny transport. Boję się, że ten wergundzki oficer będzie chciał położyć łapy na kontroli szlaku – Krevain zmienił temat – Trudno będzie zachować neutralność w tak bezpośredniej bliskości ich placówek.

- Wiem. Zwłaszcza tobie, Styryjczykowi – mruknęła kobieta – Jak zabraknie im argumentów, oskarżą cie o szpiegostwo czy cholera wie co. Daj mi z nimi negocjować. Z transportem idzie mój list do moich ludzi w Birce. Uruchomią kogo trzeba i wergundzcy chłopcy się uspokoją.

- Dzięki – westchnął wojownik – Mam szczerą nadzieję, że uda mi się zrobić to samo, kiedy w końcu przyjdą tu moi. Bo to, że przyjdą, to pewne. I że będą chcieli położyć łapy na tym, co mamy, to też pewne.

- Niech ich wszyscy diabli – Loreniss dokończyła butelkę i wstała – Do listu dodam jeszcze jeden. Thordis zostawiła sporą dolę w banku w Birce. Mistrei mówił mi, że ona ma rodzinę na Fiordzie, na jakimś Fjellbergen. Każę całą tę sumę wysłać jej matce. I dodam trochę od nas.

\*\*\*

Hetman Enid Asivay y Darehl słysząc z tego, że dla swoich żołnierzy była niemal jak matka. Może dlatego właśnie, ze względu na tę cechę, arcyksiążę właśnie jej powierzył zadanie stworzenia ke'empat, armii poborowej, złożonej z młodych wyznaczanych do służby ludzi. Ona miała dość wrażliwości, by rozumieć ich słabość, ale i dość cierpliwości, by przerabiać ich na sprawnych, wiernych i twardych wojowników. Sama przeszła tę drogę, gdy świat był dużo młodszy i rozumiała ich strach. Miała za sobą wiele, przeżyła kataklizm dwukrotnie, zagładę starego kraju, potem zniszczenie nowej ojczyzny, własną śmierć, tułaczkę między światami. Ale nie straciła serca i nigdy nie utraciła wrażliwości.

Dlatego śmierć każdego z jej żołnierzy przejmowała ją dogłębnie. Asystowała przy pogrzebach i spisywała imiona wszystkich, sumiennie informując o śmierci ich rodziny. We wczorajszym szturmie na Aenthil utraciła niemal pięciuset, gdyby nie wsparcie Besar Takut, których niespodziewanie Lambert Ostin pchnął na jej odcinek walki, straciłaby więcej. Oddział najemników, na który trafiła, był wyjątkowo wyszkolony, najlepsi wergundzcy wojownicy, niektórzy jeszcze z sukursji, starzy wyjadacze. Utrzymali pozycje tak długo, by ich armia zdążyła ewakuować wszystkich cywilów. Enid cieszyła się nawet z tego obrotu sprawy, nie wiedziała, czy byłaby w stanie wydać rozkaz zabijania bezbronych. A co, u licha, mieliby robić z jeńcami.

Wspięła się na niewysoki, trochę ponad metrowy mur, prowadzący na plac poniżej kuchni pałacu Neitherielin. Na białych trawertynowych posadzkach została już tylko krew, ciała zebrano,

przygotowano do pogrzebów. Ciała wrogów również, w tym kohorty najemnej, która zatrzymała w tym miejscu ich szturm. Przyklękła, przejechała dłonią po plamach zaschniętej krwi.

- Darah musuh – szepnęła, przykładając palce po kolei do czoła i do serca – Bogini, obdarz mnie ich mocą, ich siłą.

„Przydali by się tacy po naszej stronie” – pomyślała bezgłośnie.

- Przydaliby się tacy po naszej stronie – wyrwały ją z zamyślenia słowa Borga. Zwiadowca dając dowód profesjonalizmu podszedł do niej niemal bezszelestnie i choć trudno zaskoczyć nieumarłą, to jemu się to udało – Wybacz, pani, nie chciałem przerywać modlitwy.

- W porządku – Styryjka uśmiechnęła się smutno – Przydaliby się. I mamy takich, tylko niewielu. Niektórzy padli tutaj. Akon był moją nadzieją w szkoleniu najemników.

- Wiem. Ale jego praca nie pójdzie na marne, choć takiego szermierza prędko nie znajdziemy.

- A będzie potrzebny – dokończyła hetman – Oni nam nie dadzą spokoju. Dopóki nie wyrjemy w ich duszach raz na wczoraj przerażenia i paniki na sam dźwięk słowa Styria, to nigdy się nie skończy. Nigdy nie odpuszczą. Nawet się zresztą nie dziwię.

- Jest gorzej niż myślisz, pani – zwiadowca wyjął z sakwy kartkę złożoną wpół, z połamaną pieczęcią, w której po charakterystycznym kolorze laku dało się rozpoznać znak Skryptorium – To zniknęło z ukrytych skryptów, z archiwów. Bez wątplenia przyłożyli do tego ręki ludzie In'Tebri.

Enid rzuciła okiem na listę ksiąg i dokumentów i zgrzytnęła zębami, mnąc ją w palcach.

- Niech to jasny szlag – warknęła, poważnie zirytowana – Niech to cholera. Jak mamy to zrobić... Jak mamy utrzymać ich wszystkich z daleka?... Ostin wie?

- Wie. Za godzinę ma się zebrać rada dowodzących, moi ludzie przedstawią wszystko, co wiemy. Będzie ciężko. Ty straciłaś szkoleniowca szermierza, my najlepszego z wywiadowców, Tahata.

- To, czego dokonał Tahat, nie da się porównać z niczym. Uratował nas wszystkich.

- To prawda. A teraz sami znów musimy się ratować.

Enid pokręciła głową, patrząc na zrujnowany pałac, spalone kikuty drzew przy parkowych alejach, pokrwawione posadzki.

- Kiedy my zdążymy to odbudować... Tak mi szkoda.

Borg Dorean, jeden z kilku dowódców zwiadu styryjskiego, uśmiechnął się pod wąsem.

- Pani, miałaś utracić wszystko, miałaś błąkać się bez domu, miałaś nie żyć, a odzyskałaś ojczyznę, wiernych ci ludzi, nadzieję, życie. Ufaj. Nasza bogini może wszystko.

\*\*\*

Deineloch było wyjątkowym miejscem. Niewielu miało możliwość oglądania Jeziora Ognia za życia, jeszcze bardziej nieliczni dostępowali zaszczytu spoczywania w świętych Kryptach Bohaterów. Krasnoludy chowały tam zasłużonych, ryjąc ich imiona na marmurowych płytach, wmurowanych w

ściany. Złocisto-czerwone strumienie lawy, płynące uregulowanymi kanałami do jeziora, układały się w misterne, zaplatane wzory. Jedno z najpiękniejszych miejsc na całym półwyspie.

Nad brzegami ognistego jeziora mieściła się przepiękna stara świątynia Wajana i siedziba kapłańskiej szkoły Kowali Run. Paladyni Wajana szkolili się tu w walce, sztuce obróbki metalu i poznawali tajemne znaczenie znaków. Tego dnia jednak byli gospodarzami dla dostojników wszystkich klanów, którzy żegnali poległych w dalekich wojnach wojowników.

Nie chowano ciał, bo ich nie było, pozostały w odległych krainach, gdzie toczono mało ważne dla Shamarothu wojny. Były jednak imiona. W oddziałach kondotierskich Wergundii służyło wielu krasnoludów i wielu zostało w piaskach Assury, w odległym Pethabanie, a teraz – w miastach Nowej Styrii. Imiona Kowale Wajana ryli w tablicach, dodając zaklęcia i słowa mocy, zachowujące imiona w pamięci potomnych, a potomnych – w opiece bohaterów. Tylko tak klany mogły wynagrodzić tym, którym nakazały wygnanie, ich ostatni symboliczny powrót do domu.

Hrumnir był głęboko poruszony ceremonią, zwłaszcza, że znał wielu z tych, których żegnano, choćby Laird'a, mechanika i konstruktora, którego sam uczył fachu. Laird poległ w Wergundii, wraz z wieloma paladynami Modwita, z którymi służył. Stary konstruktor nigdy by się nie przyznał, jednak wracając ukradkiem wycierał łzy z siwiejącej brody. Nie, to na pewno nie były łzy, to musiała być para wodna. Większość krasnoludów podążyła mostem do Wschodniej Przełęczy, więc tam, gdzie szedł, było raczej pusto. Hrumnir był pogrążony w myślach, co czyniło go mocno niebezpiecznym dla napotkanych, którzy by go zaskoczyli i sprowokowali odruchowy cios toporem. Dlatego wędrowiec uchylił się w ostatniej sekundzie.

- Jasna zaraza wszystkie cholery świata! – wrzasnął mechanik, gdy ostrze z ogłuszającym zgrzytem zjechało po kamieniu, krzesząc snop iskier – Przez ciebie stępiłem klin! – dorzucił, gdy już dotarło do niego, że intruz, którego wziął za goblina, to jednak krasnolud. Wędrowiec wyszedł z cienia, z korytarza prowadzącego w kierunku Południowej Drogi i dalej do przystani nad morzem.

- Proszę o wybaczenie – rzekł z akcentem, którego Hrumnir nigdy nie słyszał – Nie zamierzałem. Chcę dotrzeć do Rattensham, do Rady Klanów Północy.

- Jesteś w Daineloch, przyjacielu, do Rattensham jeszcze dzień drogi – konstruktor przyjrzał mu się z zainteresowaniem – Skąd podążasz, jeśli wolno spytać?

- Z Devrelmont. Diablej Góry.

- Aha. A gdzie to?

- Na południe od Bagien Moreinn, niedaleko laryjskiej prowincji Takawai. Dwieście mil na południe od dawnych Czarnych Kamieni. Przynoszę wieści z południa.

\*\*\*

W Kouna-rava, masywie górskim w południowej części pasma Larionu, wiosna rzadko przychodziła przed równonocą. Zwykłą rzeczą było, że uroczystości równonocy obchodzono, grzejąc się przy rozpalonych w śniegach ogniskach. Ale w tym roku było inaczej. Śnieg leżał tylko na szczytach, w dolinach i na stokach gór Kouna już w połowie czasu między Zimowym Zmrokiem, a Równonocą zakwitły pierwsze krokusy. Miało to swoje dobre strony – licząc na brak przymrozków można było wcześniej obsiać pola i liczyć na większe zbiory. Złą stroną był przewidywany przez większość starszyny na bazie niezawodnego łupania w kościach zimny i deszczowy czas lata. Ale póki co,

ciesząc się słońcem i brakiem śniegu mieszkańcy Kouna-rava wylegli na place i ogródki, porządkować po zimie i budować nowe.

Aituna Mauru także spędzał ten dzień w promieniach słonecznych, uprzątnięta po zimie akoranga pozwalała rozruszać zastane mięśnie i odetchnąć pełną piersią górskim powietrzem. Na jego placu treningowym dało się zauważyć przynajmniej kilka ruchomych manekinów, liczne sznury, równoważnie i wahadła, które czyniły nawet samotny trening niezwykle skutecznym. Słońce chyliło się już ku równinom nad bagnami Moreinn, gdy Aituna w końcu pozwolił odpocząć swojej ulubionej broni, naginata, i usiadł na progu z kubkiem słodzonej soki z malin wody.

„Idealny moment, by nieproszony gość zakłócił idealny odpoczynek” – pomyślał elf, prostując nogi przed sobą.

- Atamarie, Aituna – zabrzmiał za jego plecami znajomy głos. Parsknął ze śmiechem – Mój widok cię tak bawi, tak? – Kauroa bynajmniej nie zamierzała się obrażać, było to obce jej naturze. Jako, że była dość częstym gościem w domu na wzgórzu, przyzwyczaiła się do poczucia humoru gospodarza – Kiepsko się przykładałeś do ako, skoro masz siłę jeszcze żartować z dobrych ludzi.

- Nie mam – zaśmiał się Aituna – Nie mam, ledwie kubek trzymam. Są wieści już? – zagadnął, domyslając się, z czym przyjaciółka mogła przyjść o tej porze – Czy nua'tsan podjął już decyzję?

- Podjął – Kauroa była córką hua'tsana całej prowincji Takawai i właściwie nie powinna była powtarzać tego, co ojciec powiedział jej w czasie zaufanej rozmowy. Jednak wiedziała, że intencją ojca było, by powtórzyła to Aitunie, tak by przed oficjalnym poruczeniem mu misji mógł się psychicznie przygotować – Otrzymałeś zadanie.

Milczeli przez chwilę. Aituna był wojownikiem zwiadowcą, szkolił się w wypadach na nieprzyjacielskie terytoria z małym oddziałem oddanych ludzi. Teraz również zadanie miało być oparte na jego umiejętnościach i wyszkoleniu.

- Więc obawy się sprawdziły? Jest tak, jak mówili?

- Tak. Ojciec wzywa cię do marae-ahu, wszystkie informacje, jakie uzyskali zwiadowcy, są do twojej informacji, a także dostaniesz dostęp do wiedzy przeszłości, do wszystkiego, co na ten temat wiadomo. Poza tym – skrzywiła się – przybywa coraz więcej Calen-ei.tych z lasu. Próbowali odzyskać swój dom, ale myśleli, że ludzie ich wyręcą. Tymczasem ludzie walczyli tam dzielniej niż oni...

- Daj spokój – niechęć elfki do pobratymców z dawnego Aenthil była Aitunie dobrze znana – Niechże próbują, póki życia, póty walki, więc nie umiem ich potępić. Jednak jeśli staną mi na drodze...

- Oni są za słabi, by stanowić zagrożenie. Bardziej bałabym się tych nehta.

- Widziałaś te księgi? – zainteresował się elf – Naprawdę jest tak, jak to przedstawiał twój ojciec?

Kauroa zamilkła na chwilę, bawiąc się głowicą miecza, który ułożyła na kolanach.

- Widziałam. To jest fascynujące, ale też straszne. Jak lawina, nad którą nie masz kontroli. To będzie ważne zadanie. Aituna... – zagadnęła poważnym tonem, ale jej przyjaciel już wiedział, o co zapyta – Chciałabym dołączyć do tego komanda. Pozwolisz?

Wojownik uśmiechnął się.



- To dla mnie zaszczyt – powiedział absolutnie szczerze, z lekkim ukłonem głowy – Będę potrzebować niezawodnych ludzi. Ale najpierw trzeba będzie wysłać zwiadowców na przedpole. Młodzi będą mieli okazję się wykazać – ton głosu elfa zmienił barwę, sygnalizując, że zaczął on już planować przyszłe wydarzenia w szczegółach, nie tylko w ideach – Mogą wyruszyć nawet zaraz, spokojnie nawiązując kontakty z ludźmi z północy, może nawet sojusze. To wszystko będzie potrzebne. Oddział zejdzie wtedy, kiedy będzie właściwy czas, nie ma potrzeby nadmiernie zaogniać sytuacji. I tak będzie to dość... delikatna sprawa.

Resztę planów wypowiedział, ale tylko w myślach. Przyjaciółka umilkła i oboje w milczeniu spoglądali na równinę, na lśniące w promieniach zachodzącego słońca bagna, na górskie masywy i lasy, gdzie wkrótce mieli podjąć misję, od której tak wiele mogło zależeć. Zapowiadał się niezwykle, trudny, ważny rok.